płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—28.II.1987 | 4

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Ale zmarzłem!

— Popatrz, ulepiłem człowieka!

— Mamo, on mówi na mnie „Ty bałwanie"!

A TO CIEKAWE!

NAJWIĘKSZYMI rybami spotykanymi w Polsce bywają: jesiotr zachodni osiągający długość 4 m i ciężar 400 kg oraz sum, dorastający do 5 m długości, którego waga wynosi ok. 350 kilogramów.

Jesiotr zachodni, ze względu na rzadkość występowania objęty jest ochroną gatunkową.

●

NAJSZYBCIEJ pływającym zwierzęciem żyjącym w wodzie jest ryba miecznik. Osiąga ona prędkość 97 km na godzinę. Następna jest makrela pływająca z prędkością 80 km na godzinę, dalej tuńczyk — 74 km na godzinę.

Ogromny, wielotonowy wieloryb kaszalot pływa z prędkością zaledwie 50 km na godzinę.

●

NAJNOWSZE badania wykazały, że ryby słodkowodne nie żyją aż tak długo, jak dawniej sądzono. Opowiadano kiedyś o karpiach żyjących 300 lat lub o szczupakach, których życie było jeszcze dłuższe.

Rekordowego wieku 75—80 lat dożywają największe słodkowodne ryby — jesiotry. Obecnie wiadomo, że sum żyje do 60 lat, sterlet — 24, a węgorz, jeżeli ma zamkniętą drogę do morza, może żyć 55 lat.

Małe rybki żyją krócej: ciernik i różanka — 3 lata, stynka — 4 lata, kiełb i jazgarz — 6 lat. Spośród większych ryb karp żyje do 17 lat, szczupak — 14, okoń — 16, a leszcz nawet 23 lata.

●

RYBA-ŻEGLARZ jest krewniaczką ryby miecza i podobnie jak tamta ma na głowie groźną broń. Swoją nazwę otrzymała z powodu silnie rozwiniętej płetwy grzbietowej, przypominającej kształtem żagiel. Ryba-żeglarz ma dwa metry długości, żyje w ciepłych wodach Atlantyku i jest drapieżnikiem.

●

JEDNA z najdziwniejszych ryb żyje na dużych głębokościach. Ma ona pod oczami małe reflektory, które potrafi włączyć i wyłączyć w dowolnej chwili. W ten sposób zwabia światłem małe rybki, które potem zjada.

Pierwszą taką rybę złowiono w 1907 r., a drugą po 70 latach u wybrzeży Morza Karaibskiego.

Nasza okładka:

Ferie, ferie i po feriach...

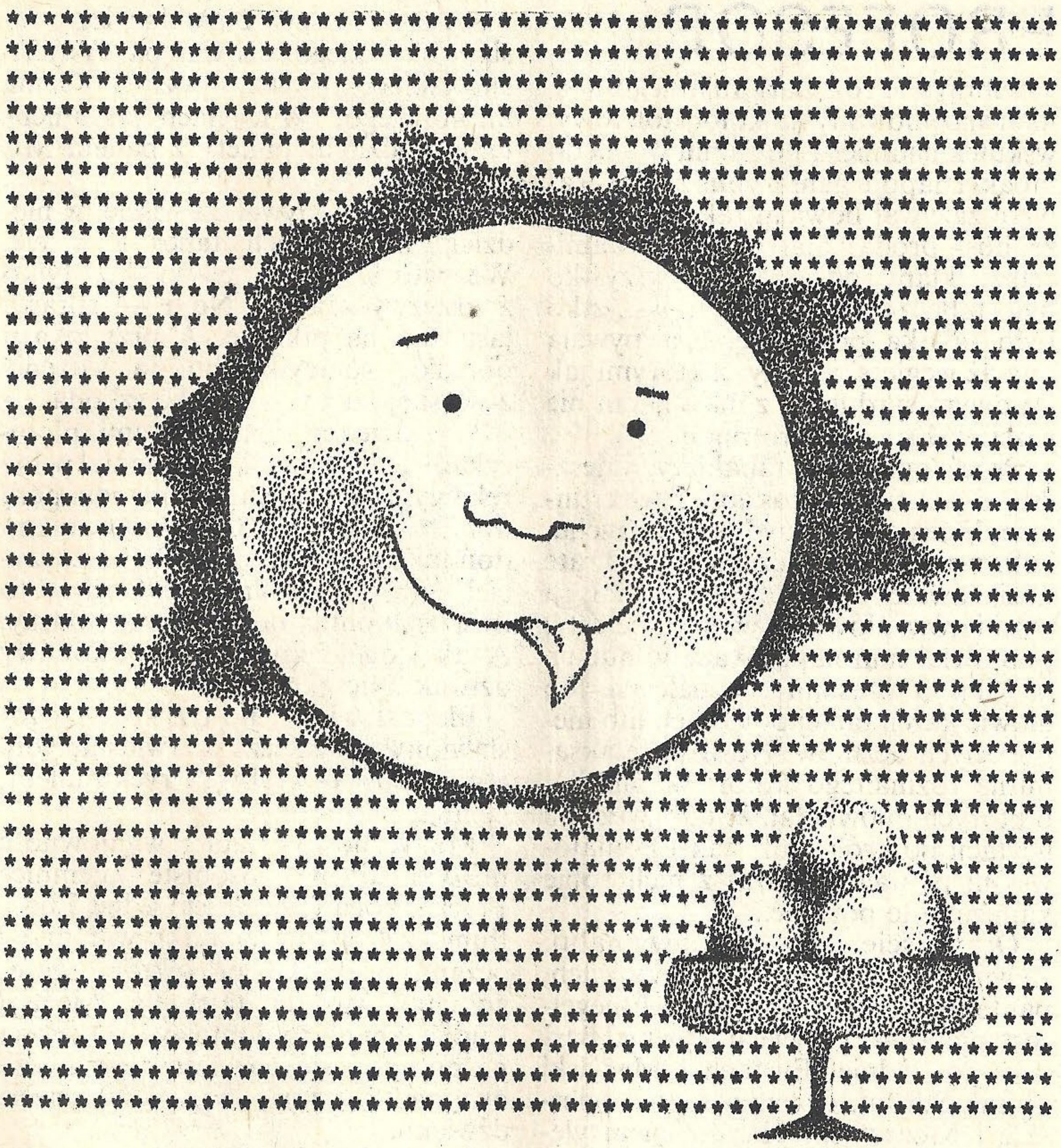

ZIMOWE SŁOŃCE

Zimowe słońce
Jest mniej gorące.

A jakie są tego powody?
Wystarczy podrapać się w głowę

I wiesz już, że słońce zimowe
Stygnie,

Bo liże lody.

Ludwik Jerzy Kern
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

PROFESOR

Olbrzymie rozmiary miał jego nos, ukarmazynowany na kolor fioletowy, wskutek nadmiernego zamiłowania do tabaki i napoju gambrynusowego. Tabakę zażywał bowiem tak namiętnie, że nos, broda, biały krawat, kamizelka, klapy od surduta, wszystko było tabaczkowego koloru, wszystko było tabaką powalane. Zasypywała ona aż węgierskie buty, z którymi jak i z owym surdutem, zimą i latem nie rozstawał się maestro nigdy.

Prócz ogromnej tabakiery, mieszczącej pół funta proszku, z wizerunkiem Mozarta czy Haydna na wierzchu, i olbrzymiej chustki czerwonej w kratę nosił zawsze na pogotowiu niemałych rozmiarów ołówek czworokanciasty; poprawiał nim napotykane w nutach omyłki, a czasami po palcach lub głowie karcił mniej pojętnych lub nieuważnych uczniów. Nosił stare aksamitne rozmaitego koloru kamizelki, o których opowiadał, że nabywszy na licytacji po królu (tak, tak,) Poniatowskim pantalony kazał z nich sobie kamizelki te porobić...

Oczywiście — wypisz, wymaluj: Żywny. Profesor gry na skrzypcach, pantalionie, klawikordzie i Fluegelfortepiano — Wojciech Żywny. Bardzo go ładnie Eustachy Marylski opisał. Surdut, chustka, buty węgierskie i Mozart czy Haydn na artyleryjskiej tabakierze — cała Warszawa zna Żywnego z tych właśnie „specyfików". Wypada zresztą jeszcze słówko szepnąć, że niewielu wówczas w stolicy Królestwa dałoby się zliczyć skąpców tak znakomitych jak imć Wojciech Żywny. Staruszek był przemiły, wesoły, gaduła i facecjonista — ale dusigrosz niebywały. Na mydło? — szkoda. Na stroje? — szkoda. Nie szkoda było tylko na tabakę.

U Chopinów bywał dzień w dzień. W poniedziałki, środy i soboty przychodził dawać lekcje muzyki pensjonariuszom. Uczył Białobłockiego Jasia, Marylskiego, del Campa, Woyciechowskiego Tytka, później Genia Skrodzkiego. Po lekcjach sakramentalna godzinka pikiety z panem Mikołajem.

W czwartki bywał na wiście, w niedziele na lekcjach tańca i wiście. We wtorki zaś i piątki już tylko z przyzwyczajenia. No i — sprawa jasna — na pikiecie. A przy okazji obiadki, kolacyjki, bo na jedzenie z własnej kabzy — trochę szkoda.

Wywdzięczał się nowinkami, ploteczkami i facecjami, których miał pełne rękawy, bez względu na pogodę, porę dnia czy nocy. U Chopinów miano doń taki stosunek: potrzebny nauczyciel — to raz, dobry przyjaciel — to dwa, znakomity nowinkarz — to trzy. A tak w ogóle: kochany, nieszkodliwy dziwak. Nieszkodliwy?

Błogosławiony, po trzykroć błogosławiony! Przecież to właśnie on, a nikt inny, odkrył we Frycku talent, geniusz.

Muzyczność świata i wymowność muzyki to były osobiste tajemnice Frycka. Wiemy, że czasem jednej Ludce tłumaczył (a raczej odkrywał przed oczami profanki) poniektóre szczegóły tak ważkich tajemnic. Ale ani Ludka, ani nikt z domowych czy gości nie domyślał się, co właściwie oznacza owa nadzwyczajna biegłość w świecie dźwięku.

To, że Frycek nie wiadomo nawet kiedy nauczył klawisze fortepianu i własne palce posłuszeństwa wobec swych muzycznych planów — dziwiło wielu. Wielu ową niezwykłą zdatność podziwiało. Tak jak podziwiało wdzięk Frycka, jego bystrość, jego humor, niezwyczajną zręczność, pamięć, urodę, zdatność uczenia się wierszy i piosenek, et cetera, et cetera. Po prostu — Frycek jest niezwykłym chłopcem. Dziwić się i podziwiać można, gościom nawet wypada. Ale po cóż troszczyć się lub opiekować

Rys. Marian Nowiński

specjalnie jeszcze jednym z dziesięciu tysięcy jego talentów? Dopiero Żywny...

Posłuchał Fryckowych „improwizacji" raz, drugi, piąty i dziesiąty. Milczał. Kiwał głową. Potem długo a starannie kichał. Frycek śmiał się i wołał: vivat! vivat! vivat! — maestro bowiem miał zwyczaj kichać na każdy niuch po trzykroć. Za trzydziestym wreszcie czy czterdziestym koncertem Żywny, zamiast milcząco pokiwać głową i sięgnąć po tabakierkę, poczerwieniał, coś tam począł mruczeć

i mamlać pod — jak trąba — nosem. Półotwarte wieczko tabakiery zamknął z trzaskiem, wstał i ostro stukając butami o posadzkę ruszył do gabinetu pana Mikołaja.

Fryderyk urwał w pół taktu, Ludka rozwarła z przerażenia oczy, przytomny zaś owej dziwacznej scenie Białobłocki zaśmiał się złośliwie.

— Ale ci dadzą..., i madame rózga! madame rózga! — zagrał palcami na nosie.

— Za co?

Białobłocki wzruszył ramionami:.

— Żywny zły jak... carewicz. Zobaczysz: będzie madame rózga!

Frycek byłby się rozpłakał, gdyby nie interwencja Ludki i jej świetny pomysł: podsłuchiwać. Od razu wszystko się wyjaśniło. Żywny nie domknął drzwi gabinetu, w alteracji zaś podniósł głos wysoko.

Ludka w śmiech. Maestro komiczniej niż zazwyczaj kaleczy swą z niemiecka czeską polszczyznę. Ale Fryckowi nie do śmiechu — cały zamienia się w słuch i blednie z napięcia: Żywny wykłada panu Mikołajowi, co myśli o jego muzykowaniu.

A więc: żyje sporo lat, a już ze cztery ich dziesiątki uczy mniej lub więcej zdolnych malców gry na skrzypcach czy klawikordzie. Widział niemało osłów — zdarzały mu się też spotkania z dziećmi szczególnie czułymi na muzyczną sztukę. Ale niech Mikołaj pomni, że to, co Frycek sam, nie uczony, potrafi na klawiaturze sobie wygrywać, to... Zalterowanemu panu Wojciechowi brak już polskich i czeskich słów, więc starym obyczajem ratuje się niemczyzną: wunderbar, wunderschön i w ogóle — Wunder!

On nie mówi tego wszystkiego na łapu-capu. Czekał miesiąc, dwa, trzy. Chciał się upewnić. I upewnił się — Frycka absssolutnie, absssolutnie trzeba zasadzić do fortepianu, nauczyć egzercycyj, gamów, pasażów — so ja! absolutnie!

Pan Mikołaj jest tym wszystkim nieco znudzony i zniecierpliwiony. Na sekreterzę kupa kajetów z pensami do oceny, a Żywny zamiast pilnować gam del Campa wierci dziurę w brzuchu na temat, który wszyscy znają przecież dobrze. Zasadniczo pan Mikołaj jest przeciwny zbyt wczesnym początkom edukacji — w końcu zgadza się bardziej na odczepne niż z przekonania. Żywny klepie go po ramieniu z radością i satysfakcją, nie dostrzega jednak przesuwającego się przez czoło pana Mikołaja cienia niechęci. A tak — niech sobie zatabaczony poczciwina nie wyobraża, że wychowa Frycka na swój mizerny obraz i kichające podobieństwo. Muzyka? — inne talenty będzie się we Frycku rozwijać!

O tej porze pani Justyna dyryguje w kuchni gosposią i Zuską, przysposabiając kolację dla całej swej rodzinno-pensjonarskiej „familii". Karczek wieprzowy z kapustą oraz ziemniakami i „słodkie", czyli strudel z konfiturą. Dla Frycka parzy się jeszcze cowieczorny wywar z żołędzi, dla Izabeli zaś i Emilii ustawiono gdzieś po kątach kuchennej blachy słodkie a delikatne kaszki na mleku.

Pani Justyna właśnie przystępuje do jakże ważnej czynności (próba strudla — czy udały), gdy drzwi otwierają się z trzaskiem — Frycek! Biegnie ku matce, wyciąga ręce. Pani Justyna z trwożliwym drgnięciem serca unosi go w górę. Nie — Fryckowi nic się złego nie dzieje — wargi drżą mu z radości, na policzkach wypieki szczęścia.

— Mamo — mówi — mamo...

Nie chce jednak wyjaśnić, skąd tak bujna radość. W końcu uspokaja się. Po chwili namysłu:

— Teraz pójdę grać.

Jerzy Broszkiewicz
(Fragment powieści o Fryderyku Chopinie pt. „Kształt miłości")

JURORZY KONKURSÓW CHOPINOWSKICH

FOT. STEFAN DEPTUSZEWSKI

Pierwszy Konkurs Chopinowski odbył się 60 lat temu, w 1927 roku. Od tamtej pory co 5 lat, z przerwą spowodowaną wybuchem II wojny światowej, spotykają się w salach Filharmonii Narodowej w Warszawie najlepsi młodzi pianiści z całego świata. W trzech etapach grają oni przed publicznością i jury, przewidziane regulaminem utwory Chopina, a w finale, do którego dochodzi niewielu pianistów, jeden z koncertów fortepianowych.

Sukces osiągnięty w Konkursie Chopinowskim jest wysoko ceniony w świecie muzycznym i otwiera pianistom drogę na estrady całego świata.

Dlatego do jury konkursu, czyli do komisji oceniającej występy młodych pianistów, zapraszani są najwybitniejsi znawcy muzyki Fryderyka Chopina z całego świata, artyści o międzynarodowej sławie. Byli wśród nich Polacy, np: Jerzy Żurawlew — inicjator Międzynarodowych Konkursów Chopinowskich, Halina Czerny-Stefańska — zdobywczyni jednej z dwóch pierwszych nagród w Konkursie w 1948 roku, Piotr Paleczny, zdobywca III nagrody w 1970 roku.

Wśród zagranicznych członków jury spotykamy często laureatów poprzednich Konkursów Chopinowskich, np. Lwa Oborina ze Związku Radzieckiego, zdobywcę I nagrody w I Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim, Marthę Argerich z Argentyny, laureatkę I nagrody w 1965 r.

TWB

Artur Rubinstein — znakomity pianista, honorowy przewodniczący jury Konkursu w 1960 r.

Zbigniew Drzewiecki — profesor Konserwatorium Muzycznego w Warszawie, zasiadał w jury wielu konkursów pianistycznych

Witold Małcużyński — zdobywca III nagrody w Konkursie Chopinowskim w 1937 r. oraz juror Konkursu w 1960 i 1970 r.

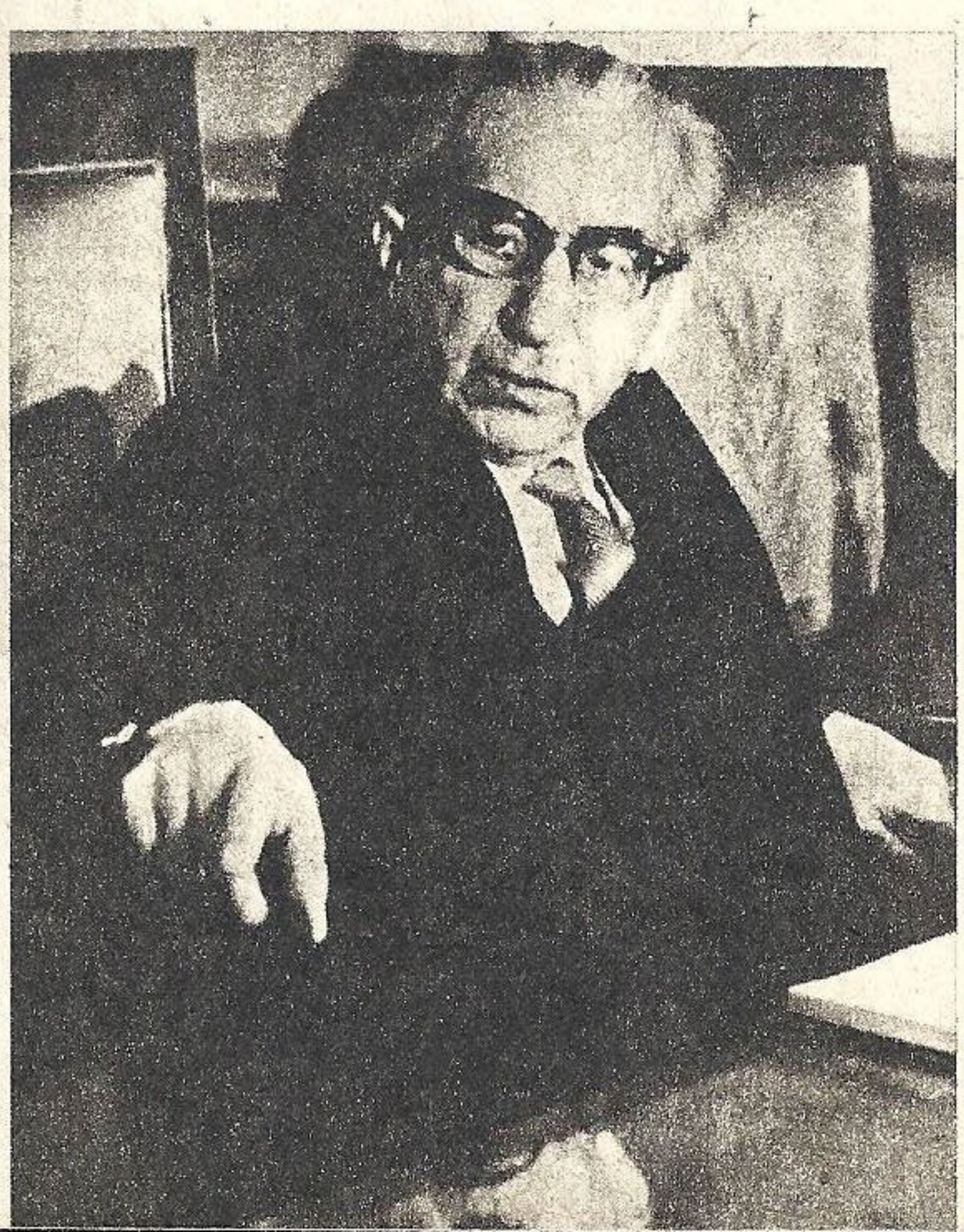

Koncert dla pana

MUZYKA

Aramowi Chaczaturianowi

A muzyka czym jest
nie wiem
może wieczornym niebem
z nutami zamiast gwiazd

albo mostem zaklętym
po którym instrumenty
przeprowadzają nas

muzyki mierny uczeń
chodzę po świecie nucę
sam nieraz nie wiem co

jakiś takt temat
coś czego może nie ma
jakieś fa-si-la-do

a ona czym jest — nie wiem
może wieczornym niebem
z nutami zamiast gwiazd

albo mostem zaklętym
po którym instrumenty
przeprowadzają nas

Ludwik Jerzy Kern

Fryderyk Chopin (22.II.1810—17.X.1849)

SŁOWIK

W przyjaciół miłym gronie
Dziewczyna w wieczornym salonie
Wiosennym głosem,
Nutą słowiczą,
Śpiewała z miłosną słodyczą,
Z majowym patosem.

Wszyscy słuchali
I gdy śpiewaczka usta otwarła
W perlistej gamie,
Co w serca wnika,
Kot, co się zakradł do sali,
Skoczywszy jej na ramię
Zajrzał do gardła.
Szukał słowika.

Leopold Staff
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

* * *

Co się łzą oświeciło,
to słońcem wschodzi.
Co się w ziemię wrzuciło,
to się urodzi;

co się w wiatr rozmotało,
to się zmota.
Za pagórkiem
cicha woda.

Konstanty Ildefons Gałczyński

(z poematu „Niobe")

PLENER ILUSTRATORÓW W SUŚCU

— Czy wiecie, gdzie leży SUSIEC?

— Susiec to piękna wieś letniskowa, położona na skraju Puszczy Solskiej w Roztoczu Środkowym, w województwie zamojskim. Tam właśnie odbył się kolejny plener ilustratorów, zorganizowany przez Biuro Wystaw Artystycznych w Zamościu.

Nie każdy wie, co to znaczy plener. — Jest to słowo pochodzenia francuskiego plein-air, czyli dosłownie „pełne powietrze". Ja do tego tłumaczenia dodam, że powietrze jest tam istotnie cudowne, świeże, przepełnione zapachami ziół, grzybów i lasów iglastych.

Tam właśnie ilustratorzy (a było ich piętnastu) spotkali się, aby wspólnie malować, dyskutować i żyć przyrodą Roztocza.

A podziwiać jest co. Srebrzyste szumy rzeki Tanwi, wijącą się malowniczo czystą rzekę Jeleń i potok Łosiniec, i jeziorko (głębokie na 15 m) położone w środku wsi, ze źródłami bijącymi z dna niecki z osadów krasowych.

Stary młyn przy jeziorze, w którym podobno straszy, odkąd diabły z Suśca ukradły koło młyńskie. Od tamtego czasu młyn skrzypi, dudni, jęczy i dyszy — gdy młynarz włącza silnik elektryczny, który zamiast koła — porusza teraz młyńskie kamienie.

Jest tam również rezerwat „Czartowe Pole" — ostęp leśny, gdzie podobno czarty, przyginając wichrem drzewa, zostawiły po sobie wiatrołomy, a ludzi, którzy w puszczy zbierają grzyby — tak zwodzą krętymi dróżkami i podobnymi do siebie zagajnikami, że aż strach ich bierze, że zabłądzą.

Ilustratorzy wszystko to pięknie wymalowali. I nie tylko to. Znany Wam pisarz, p. ZDZISŁAW NOWAK, też przyjechał do Suśca i przywiózł swoje pięknie napisane baśnie, zebrane z całej Polski.

Powstanie z tego książka ilustrowana i wydana przez „Naszą Księgarnię".

Na zakończenie pleneru odbyło się spotkanie niektórych uczestników pleneru z dziećmi w szkole w Suścu.

Dzieci bardzo interesowały się naszą pracą (ilustracjami), potem deklamowały wiersze i wraz z kierownictwem szkoły serdecznie nas zaprosiły na następne spotkanie w przyszłym roku.

Pokazujemy Wam dwie ilustracje z pleneru w Suścu do legendy „Piekiełko pod Tomaszowem".

Zbigniew Rychlicki

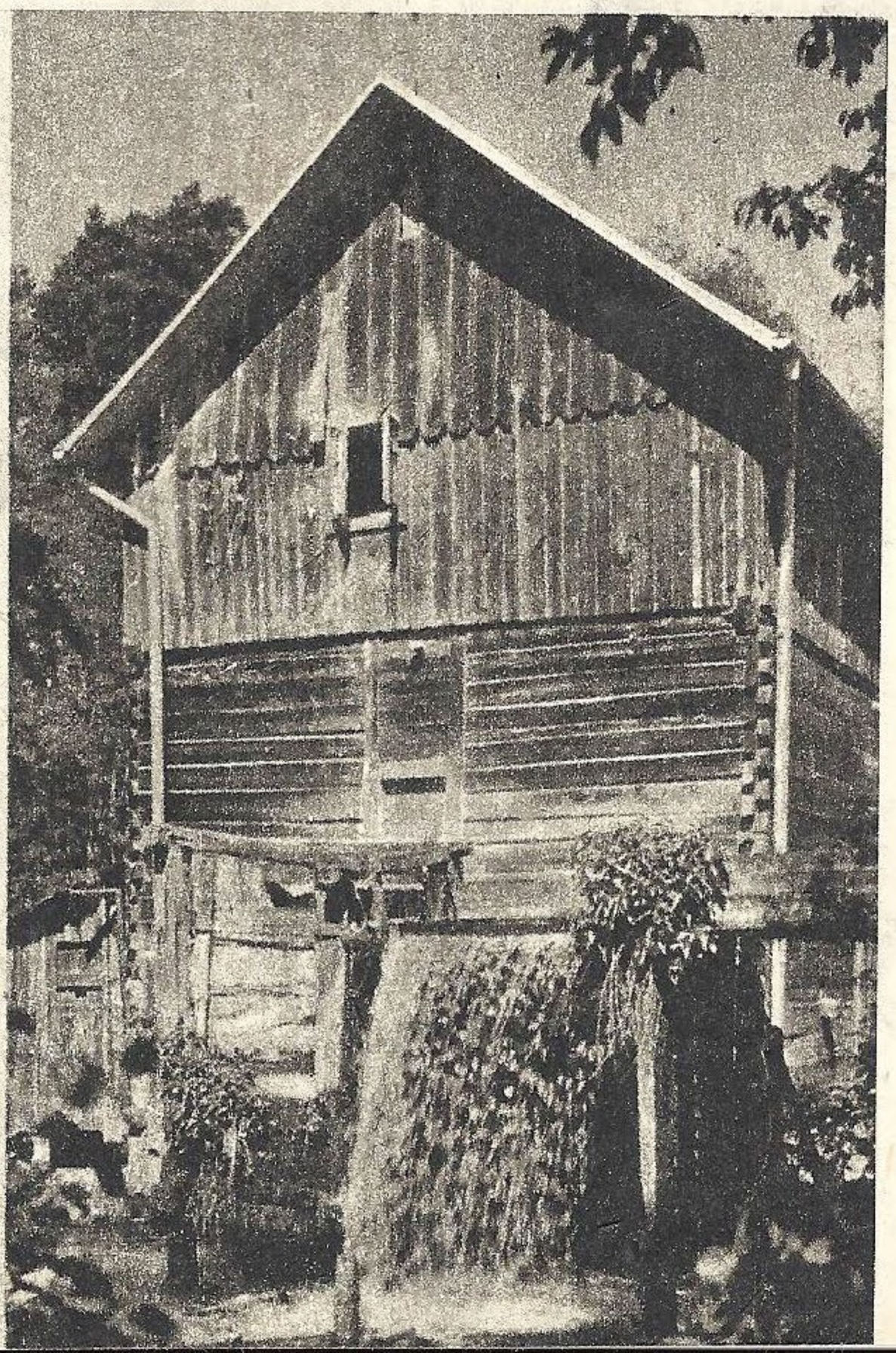

PIEKIEŁKO POD TOMASZOWEM

Doświadczony diabeł błotny Brodziak całymi godzinami wylegiwał się w nurtach Czarnej Łady, brzuch w wodzie moczył, kołtun na ogonie rakom szczypcami czesać zezwalał i pomrukiwał wielce zadowolony. A kiedy już wymoczył się i wypluskał do woli, śpieszył na Czartowe Pole niedaleko Suśca, aby zabawić się i potańcować przy księżycu z wiedźmą Fryszarką. Z piegowatą wodnicą o szerokich ustach, do której smalił cholewki od ubiegłej wiosny.

Niestety, szczęście diabelskie nie lepsze jest od człowieczego, nigdy nie trwa zbyt długo. Któregoś dnia, kiedy leżał sobie z błogą miną na płyciźnie w Czarnej Ładzie i dzierżąc sporawego karasia w garści przekomarzał się z głodną wydrą, raptem usłyszał wołanie od brzegu.

— Ej, Brodziaku! Gdzieżeś, diable rogaty? Odezwij się.

— Tu jestem — czart podniósł się nieco na łokciu i zerknął zezem w stronę zarośli. — Kto tam wrzeszczy niby zbój na mękach przeszkadzając mi w spokojnej drzemce? I czego chce?

— Z polecenia księcia piekieł wyłaź migiem na brzeg. Dość leniuchowania. Pilna robota cię czeka.

Rad nierad wygramolił się Brodziak z wody, otrząsnął się niczym kudłate niedźwiedzisko po kąpieli i popatrzył na młodzika w czerwonym, kusym fraczku. Widać nie byle jaka to była persona, bo z trefionymi lokami, wąsikami przystrzyżonymi w szpic i krótkimi różkami ze srebra.

— A tyś kto? — zagadnął przybysza już odrobinę grzeczniej. — Nie znam cię, kusy fraczku. Nigdziem twojej przystojnej gęby nie widział ani z bliska, ani z daleka.

— Nie widziałeś, bo nowy jestem w Lucyperowej służbie. Od niedawna za gońca tronowi podziemnemu służę.

— A czegóż żąda ode mnie podziemna zwierzchność? — Brodziak poskrobał się niepewnie za uchem.

— Skargi płyną na ciebie, że planu nie wykonujesz. I innym diabłom psujesz paskudnie statystykę. Opuszczasz się, Brodziaku, zaniedbujesz. Zamiast dusze ludzkie pracowicie łowić, ponoć zabawiasz się na ziemi. Ze szczupakami wyścigi o nagrody urządzasz, stare sumy za wąsy ciągniesz, pijawki nadmuchujesz niby kozi pęcherz i panienki moczarowe giglasz pod pachami. Najwyższa pora zaprzestać pustych igraszek. Do poważnej roboty trza się wziąć, diable.

— Do roboty, powiadasz, kusy fraczku? Do poważnej? A niby do jakiej?

— Nie wiesz? Jużeś zapomniał? Czy może wody masz jeszcze pełno w uszach i nie dosłyszysz? Przeciem przed chwileczką gadał. Ludzkie duszyczki powinieneś łowić i pod ziemię znosić. Diabeł, który na dusze nie poluje, nie godzien być diabłem. Diabeł, który dusz nie łowi, tak naprawdę nie różni się niczym od zwykłego człowieka.

— E, przesadzasz. A mój ogon i moje rogi?

— Koza też ma ogon i rogi — fuknął czerwony fraczek — a przecież diabłem nie jest.

— Cóż więc mnie czeka?

— Mówiłem, robota. Zadanie specjalne, niełatwe. Starego uparciucha musisz namówić, ażeby wreszcie oddał nam swoją grzeszną duszę.

— Starego uparciucha? To niby kogo, kusy fraczku?

Diabeł ze srebrnymi rogami wy-

ciągnął z rękawa rulon pergaminu z cielęcej skóry, rozwinął go, wygładził starannie i przeczytał uroczystym tonem:

— Imci pana Kurdwanowskiego z Łaszczówki.

— Kurdwanowskiego? Starego kruka, zrzędę i dusigrosza zza Tomaszowa?

— Tego samego.

— To ten niecny liczykrupa jeszcze nie w piekle? Dziwne. Byłbym sobie dał ogon uciąć, iż on od dawna smaży się na Lucyperowej patelni.

— Straciłbyś po próżnicy ogon. Stary łotr i sknera ani myśli przenieść się do podziemnego królestwa. Właśnie ty masz go do tego nakłonić. Podstępem, z dobrej woli albo siłą. To rozkaz władcy.

Cóż miał Brodziak czynić? Lucyperowej woli sprzeciwiać się nie mógł. Skinął posłusznie głową i pobiegł czym prędzej na Czartowe Pole koło Suśca. Najpierw musiał pożegnać się z wiedźmą. Oczywiście przyrzekł piegowatej Fryszarce, że powróci, gdy tylko sprawi się z duszą pana Kurdwanowskiego, i dopiero wtedy popędził dalej. Po drodze, zasapany, wstąpił jeszcze do Tomaszowa na piwo, a potem już bez zatrzymywania się pognał do niedalekiej Łaszczówki. Z wizytą do jaśnie pana dziedzica.

Na energiczne stukanie otworzył mu drzwi pan domu. Imć Kurdwanowski we własnej osobie. Starzec chudy i wysoki niby chmielowa tyka. Z nosem długim i zakrzywionym jak pogrzebacz.

— Kłaniam się nisko dobrodziejowi. Do samych kolan się mu chylę w pokorze.

— Czego chcesz, ogryzku?

— Ze sprawą do dobrodzieja przyszedłem.

— Z jaką, zgniłku?

— Z wartą spojrzenia. Z przednim towarem bowiem chodzę od dworu do dworu.

— Wynoś się, purchawko, pókim cię jeszcze brytanami poszczuć nie kazał! Potrzebny mi ten twój lichy towar jako dziura w moście — wrzasnął gniewnie staruch i trzasnął drzwiami nieznajomemu przed samiuśkim nosem, tak że o mało mu guza nie nabił.

— Ale ja nie z byle jakim towarem wędruję od Zamościa. — Brodziak sprzed progu natychmiast przeniósł się pod uchylone okno. — Nie chcesz popatrzeć, mości Kurdwanowski? Okiem jeno rzucić? Patrzenie nic nie kosztuje. A tyle drogocenności, dobrodzieju, pewnikiem jeszcześ w żywocie nie widział. O, jakie tu mam cacka. I szczerozłote spinki. I szczerozłote sygnety z miejscem na wycięcie rodowego herbu. I srebrne fajki ze złotymi ustnikami, aby w gębie było milej podczas kurzenia. I jeszcze insze szczerozłote różności.

— Zawrzyj diabłu drzwi na skobel, on ci oknem wlezie — burknął dziedzic, ale zaciekawiony wyciągnął długą szyję przez okno. — Pokaż, trutniu, jakżeś już przelazł taki kawał drogi. Tylko biada ci, jeśliś zełgał. Parobkom każę skórę z ciebie zedrzeć i siedemdziesiąt bizunów wlepić na żywą ranę, jeśli nie masz tego, co obiecujesz.

— Nie omyliłeś się, mości Kurdwanowski. Cha, cha, cha! Masz nosa. Zgadłeś, jakbyś znał mnie od małego. Diabłem jestem. Najprawdziwszym. Dzisiaj w roli posłańca i egzekutora podziemnej zwierzchności do ciebie przybywam. Po duszę, na którą mój pan czeka w piekle o wiele za długo.

— Hi, hi, hi! — staruch, zamiast przerazić się, wyszedł na dwór i zaczął trząść się ze śmiechu i podskakiwać, jakby go ze sto pcheł naraz obsiadło. — Hi, hi, hi! Duszę moją dostaniesz, bracie puchaczu, lecz jeszcze nie teraz. Wpierw musisz sobie na nią zasłużyć. Zapracować solidnie.

— Oj, co też powiadasz, mości

Rys. Zbigniew Rychlicki

Kurdwanowski. Małoż to diablęta naharowały się dla ciebie? Każde zadanie, każdą robotę, jakąś im wyznaczał, wykonywały, zanim tyżeś zdążył okiem łypnąć. Jeszcze ci mało? Sumienia chyba nie masz, dobrodzieju.

— A czy ja kiedy twierdziłem, bracie puchaczu, że mam sumienie? Hi, hi, hi! Sumienia nie mam, bo mi nigdy nie było potrzebne. Za to mam duszę. I to nie taką pospolitą, chamską, z byle chałupy, ale pańską, ze dworu, szlachecką i herbową. I do tego nadzwyczajnie grzeszną, czyli zasłużoną dla waszego Lucypera jak rzadko.

— Oj, prawda to, mości Kurdwanowski. Tako i w piekle gadają — przytaknął Brodziak skwapliwie.

— A jak prawda, to czekaj. Oblizuj się niby kot do wędzonej szperki i czekaj cierpliwie.

— Hm, a nie sądzisz, mości Kurdwanowski, że już najwyższa pora na ciebie? Całe piekło się niecierpliwi. Lucyper co i raz przez studnię wygląda. Belzebub od tego przydługiego oczekiwania dostał żołądkowego rozstroju. Bo też ile można czekać na jedną duszyczkę, dobrodzieju?

— Długo można. Zwłaszcza na taką jak moja. Hi, hi, hi! Przyznasz, bracie puchaczu, że niewiele jest podobnych do duszy starego Kurdwanowskiego. No, bo kto tylu chłopków co ja nadręczył tu i w okolicy? Kto za byle przewinionko kazał ich batożkiem wysmagać do krwi? A kto tyle co ja babom nadokuczał? Kto im dzbany z mlekiem powywracał? Kto kozy z więzi kazał pozrywać? Kto gęsi wydusił? Kto z jaj wiezionych na targ do Tomaszowa sporządził surową jajecznicę, największą chyba na świecie?

Mówiąc to dziedzic wysunął niepostrzeżenie nogę i z całej siły nadepnął Brodziakowi na ogon.

— Auuu! — wrzasnął diabeł i z bólu podskoczył powyżej komina. Spadł i momentalnie znowu skoczył do góry, tym razem rycząc jeszcze głośniej. Nic dziwnego, zleciał przecież na grabie błyskawicznie podłożone mu przez dziedzica.

— A cóż to, bracie puchaczu? Zamiast stać spokojnie i słuchać, co do ciebie mówię, podskakujesz, jakbyś z pchłą stanął w zawody? — pytał złośliwy starzec z niewinną miną. — A może ty, bratku piekielny, uczysz się fruwać?

— Nie drwij sobie z biednego czarta, mości Kurdwanowski, bo to grzech podwójny — wystękał Brodziak przestępując z jednej bolącej nogi na drugą, nie przestając przy tym delikatnie dmuchać na piekący ogon.

— Słuchaj no, bracie puchaczu. Chciałbym wiedzieć, czy poza owym złotkiem i klejnocikami masz jeszcze coś bardziej wartościowego w zanadrzu? Może znasz jakąś porządną kryjówkę ze zbójeckimi skarbami?

— Chodź za mną, mości Kurdwanowski. Pokażę ci taką właśnie kryjówkę i taki skarb. Niedaleko, tu na twoich ziemiach. Tylko o jedno cię proszę, nie dokuczaj mi więcej. Miej wzgląd na mój biedny ogon i na moje biedne nogi.

— Hi, hi! I bez nóg do skarbu bym się dowlókł, gdyby było trzeba — roześmiał się stary szlachcic maszerując przez pole za diabłem. — Ważne nie są nogi, ale to, czy skarby zbójeckie są wystarczająco duże.

— Tutaj spójrz, mości Kurdwanowski! — Brodziak pstryknął palcami i pokazał na dziurę pomiędzy kamieniami. — Dwadzieścia antałków złota i dwadzieścia beczułek szlachetnych klejnotów będzie należeć do ciebie, jeśli wreszcie odeślesz swoją duszę do piekła.

— Odeślę — staruchowi zaświeciły się oczy. — Ale nie teraz, bracie puchaczu. Hi, hi! Cóżeś ty taki we wrzątku kąpany? Mamy przecież jeszcze mnóstwo czasu.

Kiedy to imć pan Kurdwanowski

gadał, nie przeczuwał nawet, jakże się mylił. Jak niewiele żywota pozostało mu na tej ziemi. Wszystko wyjaśniło się bowiem już nazajutrz.

Z samego rana niebo zaciągnęło się chmurami. Ciężkimi, sinymi, nisko wiszącymi nad polami.

— Grad! Grad idzie! Jezusku przenajświętszy, ratuj nasze plony! — lamentowali biedni ludzie i biegali tam i sam nie bardzo wiedząc, co robić.

— A dobrze wam tak, chudopachołki zasmarkane — zacierał ręce starzec chichocząc z radości. — Niechże wam grad wymłóci zboże do ostatniego ziarenka. Bez grosza i bez jadła będziecie wisieć u mojej klamki. Hi, hi! Za kawałek chleba zabiorę wam wszystkie grunty. Hi, hi! Nie pozostawię nawet tyciego skraweczka. Z łaskawego serca co najwyżej pozwolę wam pracować na moim.

O swoje plony imć Kurdwanowski nie kłopotał się ani przez moment. Wszakże umowę miał z piekłem. W zamian za grzeszną duszę diabły orały mu ziemię, siały, chuchały na rośliny, by rosły dorodne, a jak trzeba było, przepędzały grady i gwałtowne ulewy znad pańskich hektarów na poletka kmieci.

Tak działo się do dzisiaj. Dziś stało się inaczej. W pewnej chwili starzec dostrzegł, iż wszystkie czarne obłoki gromadzą się jedynie nad jego polami. Nad pozostałymi świeciło jasne słońce.

— Precz! Precz od mojej pszenicy! Precz od mojego żyta! — począł biegać po polu w popłochu wrzeszcząc i wygrażając niebu kułakami. — Diabły, biesy, szatany i czarty, do roboty! Na co czekacie, rogate leniuchy? Sio! Sio, przeklęte chmurzyska! Wynoście się nad chłopskie zagonki! Nad poletka tych nędzarzy bez portek!

Nagle błysnął piorun i rozległ się ogłuszający grzmot. Ziemia zadrżała, zatrzęsła się, jak gdyby nastąpił koniec świata. Podobnej burzy nie pamiętali najstarsi ludzie we wsi.

Kiedy czarne chmury wreszcie odpłynęły za bory, za rzeki, przed oczyma wieśniaków pojawił się straszliwy obraz. Po modrzewiowym dworze i po złym dziedzicu nie pozostało nawet marnego śladu, natomiast jego pola aż po horyzont usiane były nie lodowym gradem, a kamieniami.

Jeszcze i dzisiaj na ziemiach dawnego majątku imci Kurdwanowskiego — pomiędzy Łaszczówką i Majdanem — budzi grozę kilkadziesiąt gigantycznej wielkości diabelskich głazów rozsianych na ugorze pośród chudych sosen.

Ponieważ na kamienistym polu uprawiać się niczego nie da, przeto ludzie mądrzy i uczeni utworzyli tam rezerwat geologiczny. Po tym wszystkim, cośmy tu opowiedzieli, nikogo już chyba nie zdziwi, że zarówno miejscowi wieśniacy, jak i uczeni z miasta rezerwat ten nazwali Piekiełkiem.

Zdzisław Nowak

Na tym wcale nie koniec przygód Brodziaka. O porwaniu młyńskiego koła w Suścu przez sympatycznego diabła opowiemy jednakże nieco później.

BIAŁA KOŁYSANKA

Kiedy w lutym
lute mrozy,
tęgie śniegi
ziemię bielą,
trąby z lodu,
dudy z wiatru
kołysankę ścielą.

Dla kogo kołysankę?

Dla ojca i mamy,
dla córki i syna.
I dom już zasypia.
Śpi ludzka rodzina,
zajęcza, królicza,
ptasia obok w lesie.

Biała kołysanka
na gałęzi gnie się.

Teresa Ferenc

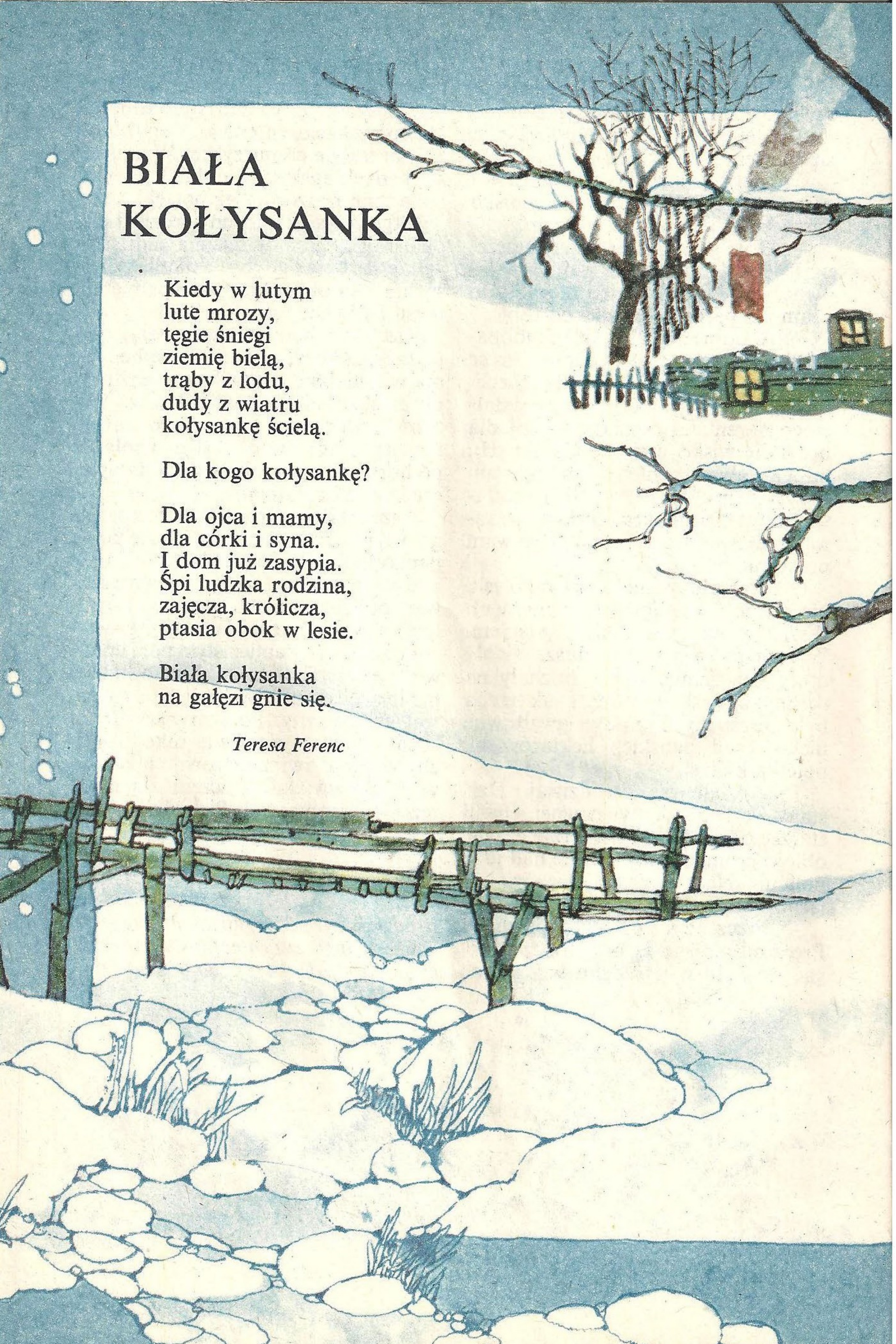

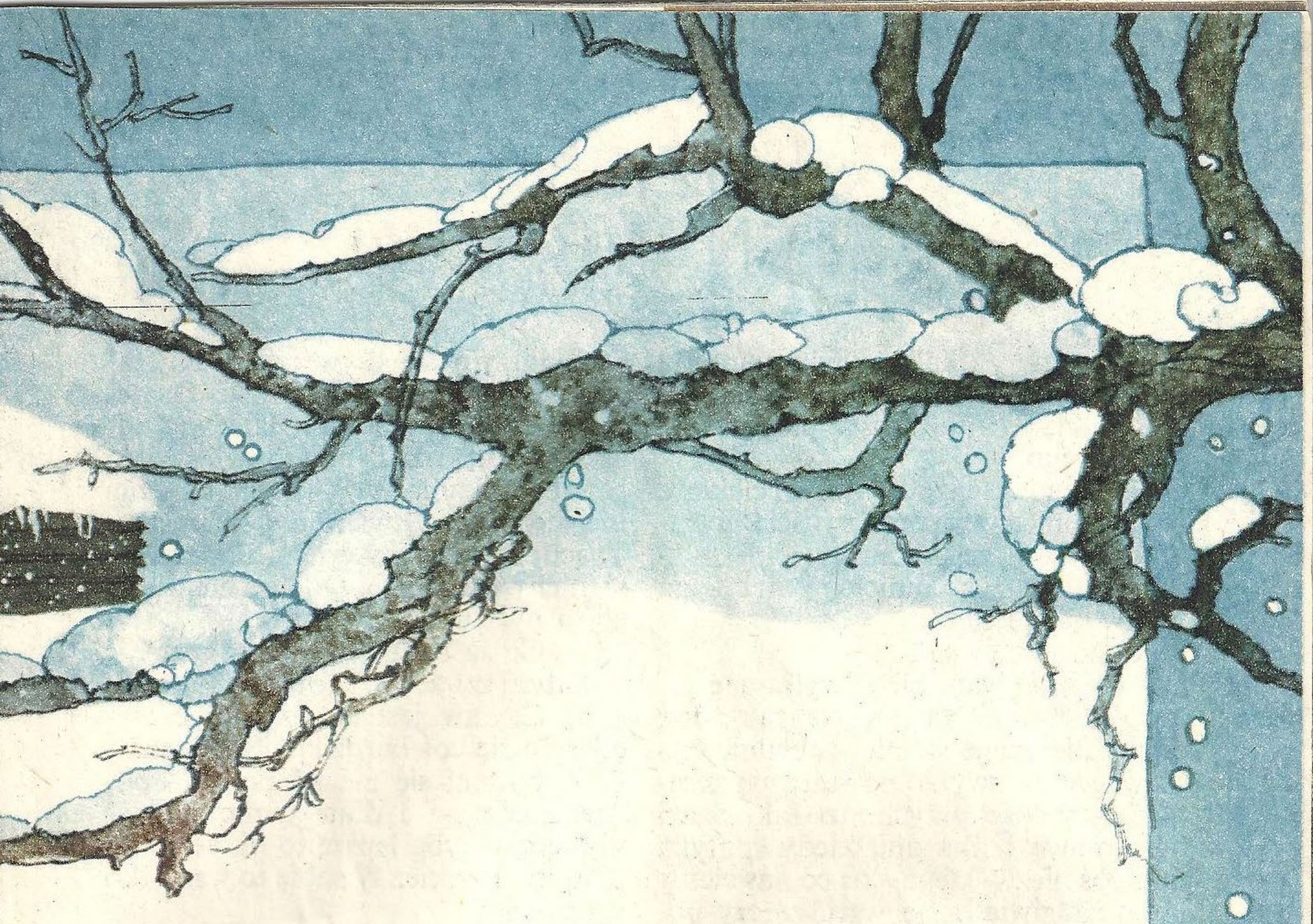

ŚLAD

Nie usłyszysz w zimie
leśnego strumyka,
bo się w lód zmieniła
szemrząca muzyka!

Nie znajdziesz go w lesie
pod wyrwanym drzewem:
ukrył się pod lodem,
lód się schował pod śniegiem...

Więc w całej dolince
prawie że go nie ma:
został tylko mostek
z całego strumienia!

Wincenty Faber

MRÓZ

Mróz
W futrze z nutrii
I w grubym swetrze,
W walonkach,
W czapie na uszy
Przystanął
Przy termometrze
I z całej tuszy się puszy —

Czeka mnie świetna kariera...
(Na słupek rtęci spoziera)
Znów jestem
poniżej
zera!

Ryszard Marek Groński
Rys. Wiesław Majchrzak

DZIEŃ PEŁEN WRAŻEŃ

Aż mnie zatkało, kiedy pani od polskiego na zakończenie lekcji podała nam nowy temat wypracowania domowego.

— Opiszecie jakieś ważne i ciekawe wydarzenie, którego byliście świadkami lub uczestnikami.

Widziałem, że inni też patrzyli na nią w osłupieniu.

Uśmiechnęła się.

— Zaraz wam bliżej wytłumaczę, o co mi chodzi. Na pewno są takie dni, kiedy nie dzieje się nic specjalnie ciekawego, ot, zwykłe powszednie sprawy. Jednakże przychodzi taki dzień albo nawet kilka dni, kiedy spotyka nas coś niezwykłego, coś co nas cieszy albo zadziwia, albo wzrusza czy pobudza do myślenia. — Popatrzyła na klasę, znów się uśmiechnęła. — Daję wam na to cały tydzień. W przyszły poniedziałek każdy przyniesie opis takiego wydarzenia lub, kto wie, może kilku wydarzeń...

Bardzo lubiliśmy naszą polonistkę, była miła, łagodna, stale uśmiechnięta; umiała ciekawie prowadzić lekcję, nigdy nie nudziliśmy się. Aż tu taki pomysł!

Dni mijały jeden za drugim, a mnie jakoś się nic nie zdarzyło. Pytałem kumpli, jak jest u nich. Tak samo.

O czym tu pisać?

W sobotę zasiadłem nad zeszytem. Napisałem pięknie tytuł wypracowania. Zacząłem sobie gorączkowo przypominać ubiegły tydzień. Nic. Pustka.

W niedzielę poszedłem do Marcina.

— Coś tam napisałem — powiedział. — Jak chcesz, możesz sobie przeczytać.

Podał mi zeszyt. Otworzyłem i zacząłem czytać.

„Zdarzyło się to w czwartek. Zastukał ktoś mocno do drzwi. Otwieram — nie ma nikogo. Zaledwie odszedłem od drzwi, powtórzyło się to samo. Stukanie, tym razem bardziej niecierpliwe. Otwieram — pustka. Trochę się przestraszyłem, ale przecież w duchy nie wierzę. Do dziś nie wiem, co to było".

— Co za bzdury! — zawołałem.

Zabrał mi zeszyt z obrażoną miną.

— Ciekaw jestem, czy tobie wydarzyło się coś bardziej ciekawego.

— Nic mi się nie zdarzyło — powiedziałem. — I dlatego nic nie napisałem. Chyba lepsze to niż te twoje głupoty. Przecież ty sobie to wszystko wymyśliłeś.

— A co miałem robić?

W poniedziałek pani poleciła dyżurnej zebrać zeszyty. A we wtorek siadła przy swoim stoliku z miną dość smętną.

— Przeczytałam wszystko, moi drodzy. I jestem okropnie rozczarowana. Nie mogę wprost uwierzyć, żebyście tak nie umieli patrzeć, słuchać, obserwować, co się dokoła was dzieje.

Otworzyła pierwszy zeszyt.

Pisze Jacek:

„Poniedziałek. — Zjadłem śniadanie, potem poszedłem do szkoły. Były cztery lekcje.

Wtorek. — Zjadłem śniadanie, nie poszedłem do szkoły, bo mnie bolał ząb i mama poszła ze mną do dentysty.

— Środa..."

W klasie rozległy się chichoty.

Pani powiedziała:

— No, chyba dosyć tej wyliczanki.

Zamknęła zeszyt. Sięgnęła po następny.

— Pisze Marek: „Miałem w środę

dzień pełen wrażeń. Przyszła do nas babcia i przyniosła ciasto własnej roboty. Z rodzynkami. Bardzo mi smakowało... W sobotę dostałem lufę z matmy".

Kolejny zeszyt.

— Pisze Jola:

„W czwartek zdarzyły się w domu różne dziwne rzeczy. Mama kupiła sobie beret, a mnie pantofle. Tata wyjechał na delegację. A mój młodszy braciszek przewrócił się na podwórku i stłukł sobie kolano. Okropnie ryczał..."

My też ryczeliśmy. Ze śmiechu.

— Proszę o ciszę. To jeszcze nie koniec.

Otworzyła następny zeszyt.

— Pisze Jarek: „W sobotę pokłóciłem się z bratem, kto ma wyjść z psem..."

— Pisze Hania: „To było w czwartek. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że pada deszcz. A właśnie miałam iść do kina z Martą".

Ryk w klasie był wprost nie do wytrzymania.

Pani zastukała długopisem o blat stolika. Kiedy się trochę uciszyło, powiedziała:

— Widzę, że się świetnie bawicie. Najzabawniejsze jednak jest to, że z pewnością nie zdajecie sobie sprawy, z kogo się tak śmiejecie. A może pamiętacie, co na ten temat powiedział Gogol w „Rewizorze".

— Wiem — wyrwał się nasz klasowy mądrala, Karolek. — „Z siebie samych się śmiejecie..."

Pani nic nie odpowiedziała, sięgnęła po zeszyt, który leżał odłożony osobno. Otworzyła go.

— A jednak jest w klasie ktoś, komu się zdarzają różne ciekawe rzeczy. Posłuchajcie:

(Dokończenie na str. 22)

PORCELANA

W średniowiecznej Europie na dworach monarszych i książęcych zatrudniano uczonych mężów-alchemików. Głównym ich zadaniem było odkryć tajemnicę produkcji cennego kruszcu — złota. Kto bowiem miał złoto, posiadał i władzę.

Takim alchemikiem na dworze saksońskim był badacz i uczony J. F. Böttger. Niestety, wszelkie podejmowane przez niego próby uzyskania złota z metali nieszlachetnych spełzły na niczym. A przecież do historii sztuki trafiło właśnie jego nazwisko. Dlaczego?

Otóż w 1709 roku — dzięki splotowi przypadków — odkrył nową technologię produkcji porcelany. Odtąd wyrób białej i twardej porcelany stał się możliwy wszędzie tam, gdzie

Chińska porcelana na fot. 1, 2 i 3

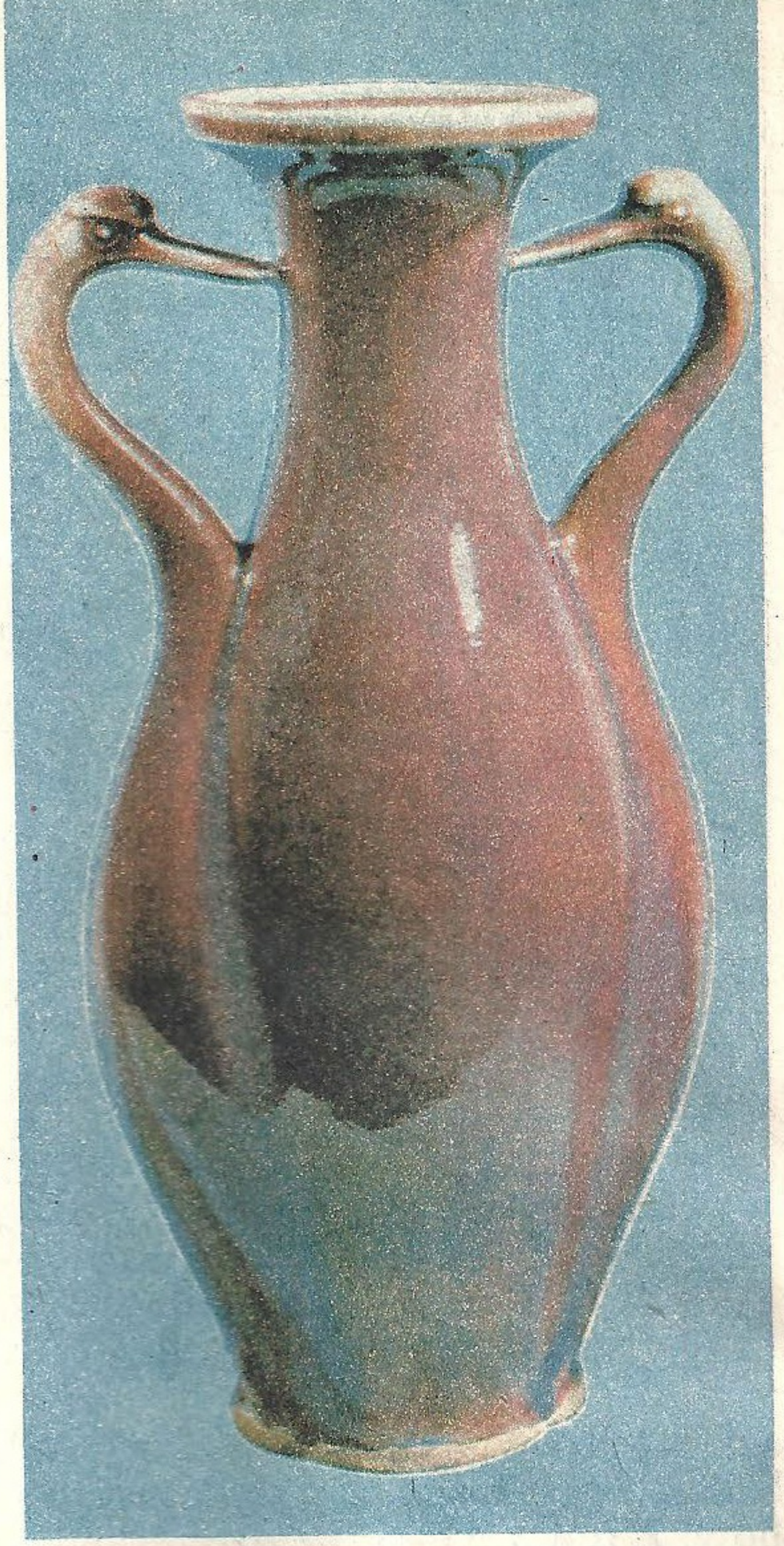

1

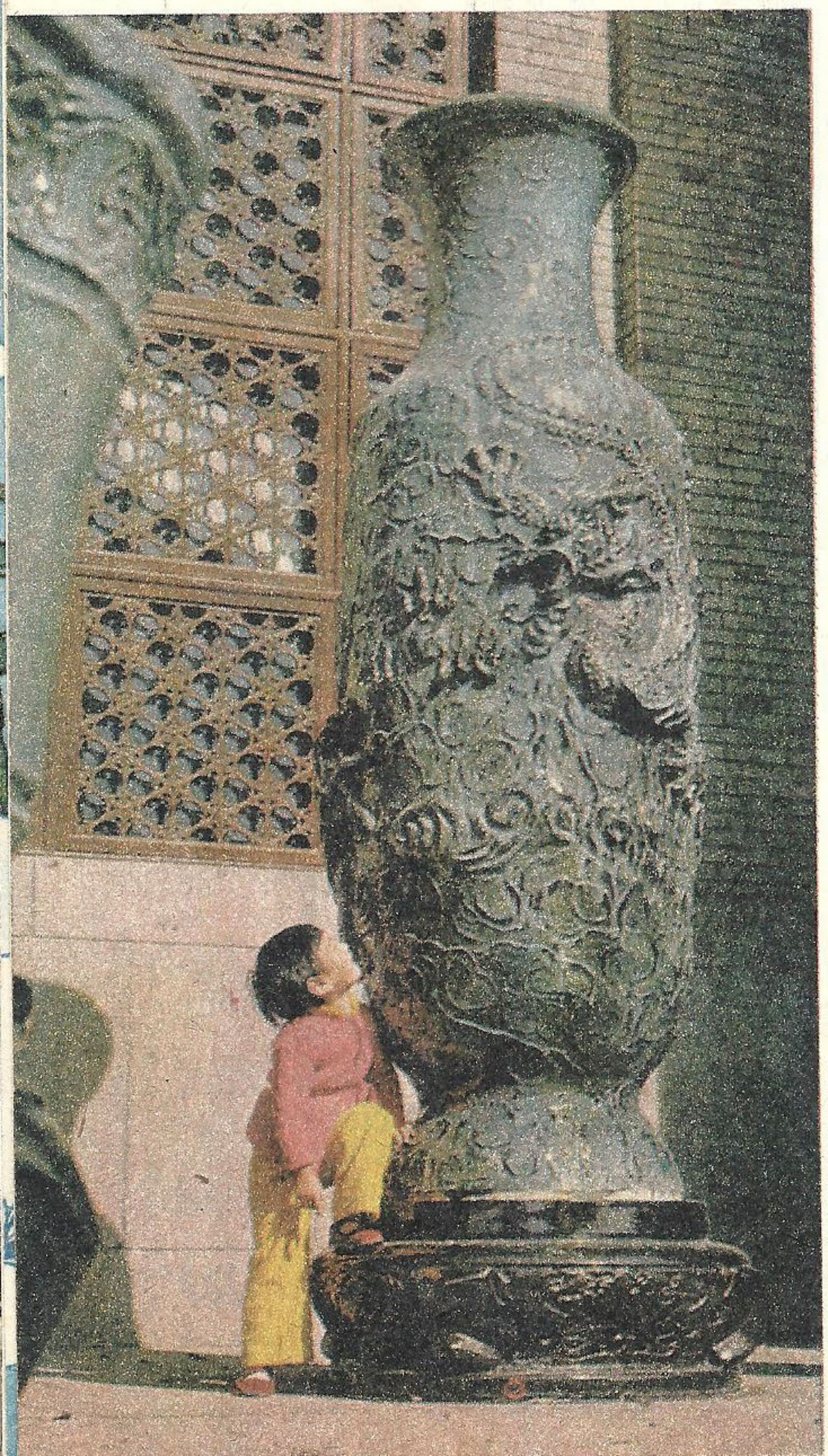

2

znajdowały się pokłady kaolinu.

W Miśni, miejscu tego odkrycia, w wielkiej tajemnicy, zbudowano pierwszą manufakturę dla wyrobu porcelany[1]. W początkowym okresie naśladowano znane już w Europie wspaniałe wyroby... chińskie.

Porcelanę bowiem wynaleziono w Chinach. Było to za dynastii Tang, tj. około tysiąca lat przed odkryciem dokonanym przez Böttgera. Ale do Europy porcelanę chińską zaczęto sprowadzać dopiero w XVI i XVIII wieku. Mimo wysokiej ceny, przewyższającej cenę złota, znajdowała nabywców na dworach królew-

3

skich, bogatych feudałów oraz wśród zamożnych rodzin kupieckich. Wysoka jakość wyrobów chińskich, przez długie lata niedościgłych dla innych — była wynikiem nie tylko zręczności rzemieślników Państwa Środka[2], ale i pilnie strzeżonej tajemnicy „dojrzewania" masy porcelanowej. Dojrzewania, które trwało sto lat. Tajemnicę tę rzemieślnicy przekazywali w największym zaufaniu z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna.

Wiedząc to wszystko możemy sobie wyobrazić, jak wielkim odkryciem była nowa technologia produkcji porcelany w Miśni dzięki zastosowaniu kaolinu. Złamany został dotychczasowy monopol Chińczyków. W krótkim czasie tajemnica ta stała się coraz szerzej znana. W Europie poza manufakturą w Miśni, zaczęto porcelanę wytwarzać w Wiedniu (1718 r.), Sèvres (1756) i Kopenhadze (1775). I mimo iż produkty europejskie długo jeszcze wzorami i jakością szkliwa ustępowały wspaniałej porcelanie chińskiej, to jednak dzięki znacznie niższej cenie znajdowały chętnych nabywców.

Powstawały kolejne wytwórnie, także na ziemiach polskich. W 1790 roku, po 6 latach nieustannych eksperymentów, dyrektorowi manufaktury w Korcu — Franciszkowi de Mezer — udało się otrzymać porcelanę. W liście do króla Stanisława Augusta Poniatowskiego napisał: „Dopełniając pilnie rozkazu Waszej Królewskiej Mości, Pana Mojego Miłościwego (...) próbki porcelany krajowej, tu w Korcu, przeze mnie wyrobionej, w tych dniach Waszej Królewskiej Mości (...) posyłam".

W ciągu krótkiego czasu zbudowano kilka liczących się manufaktur. Jednak największą sławę zdobyły wyroby z Ćmielowa. W tym ośrodku rzemieślniczym, posiadającym stare tradycje, porcelanę zaczęto produkować już w 1838 roku. W początkowym okresie głównie wykorzystując miejscowe pokłady glinki kaolinowej.

Dzisiaj naprawdę piękną, starą porcelanę można zobaczyć jedynie w muzeach. W naszych domach znajdują się już tylko pojedyncze egzemplarze talerzy, półmisków czy figurek. Warto jednak wiedzieć, że każdy wyrób porcelanowy posiada specjalną sygnaturę, która pozwala zorientować się, kiedy i gdzie został wyprodukowany.

Henryk Laskowski

[1] *Porcelana jest to wyrób ceramiczny, wypalany w temperaturze 1450°C, który zawiera średnio 50% gliny i kaolinu, 25% kwarcu i 25% skalenia.*

[2] *Państwo Środka — to nazwa Chin, powstała z przekonania Chińczyków o centralnym położeniu ich kraju.*

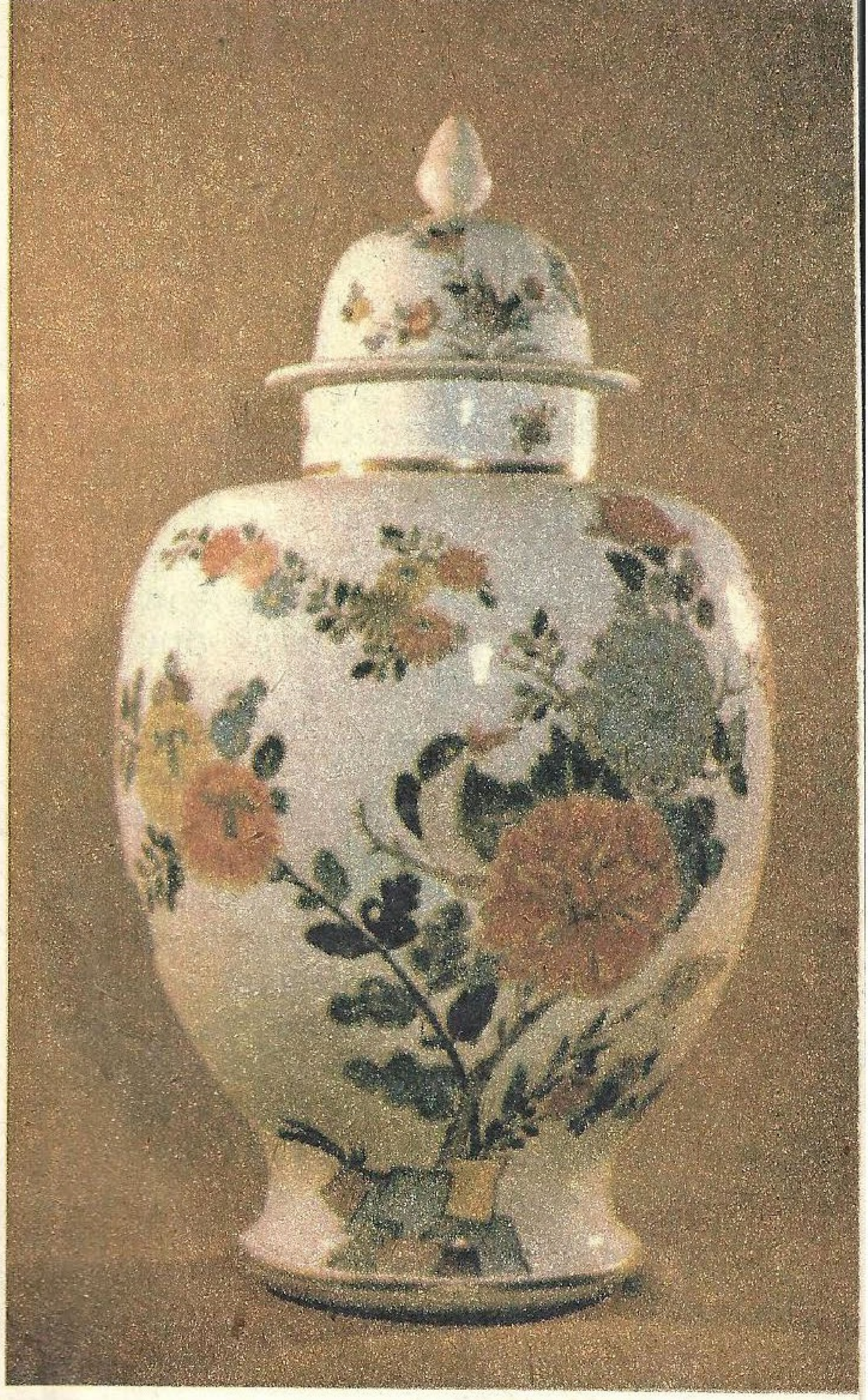

4

Porcelana miśnieńska na fot. 4 i 5

5

(Dokończenie ze str. 19)

„To było we wtorek. Szłam właśnie do szkoły, kiedy drogę zabiegł mi wynędzniały psiak. Padał deszcz, nie mogłam go tak zostawić bez pomocy. Wróciłam do domu, wpuściłam go na klatkę schodową, do mieszkania nie mogłam, urzędował tam Kalosz (to imię psa) — też kiedyś przybłęda, który przybył do nas z kawałkiem kalosza w zębach, teraz prawowity gospodarz i nie uznałby nowego. Wyniosłam mu na miseczce ciepłego mleka i kawałek chleba z salcesonem. Zjadł to w tempie błyskawicznym. Kazałam mu siedzieć spokojnie i zadzwoniłam do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Obiecali, że przyjadą po niego. Pobiegłam szybko do szkoły, ale i tak się spóźniłam. Dostałam nawet uwagę w dzienniczku.

Kiedy wróciłam, psiaka nie było w klatce schodowej, sąsiadka powiedziała mi, że ktoś go stamtąd zabrał. Ucieszyłam się. Wieczorem, kiedy spacerowałam z Kaloszem, zobaczyłam piękny, złocisty księżyc na niebie. Był zupełnie okrągły, ogromny i wyglądał, jakby płonął. W jakiejś piosence słyszałam określenie: „Księżyc jak złota broszka". Od takiej broszki mogłaby się zapalić bluzka ...Mój był inny.

Pani spojrzała po nas. W klasie panowało milczenie.

„W środę tata po pracy zabrał mnie i Kubę do Łazienek. Kalosz nie mógł iść z nami. Tam psom wstęp wzbroniony. Miał smutną minę, trudno... Przepis to przepis. Och, jak tam było pięknie. Mało ludzi, a za to dużo wiewiórek. Przychodziły do nas, do samych rąk, po orzeszki. Byłam taka szczęśliwa na tym spacerze, że chciało mi się skakać po ścieżkach, tak jak Kuba. Jestem jednak już na to za dorosła...

W czwartek od rana miałam ochotę spełnić jakiś dobry uczynek. Czasem ogarnia mnie taka jakaś dziwna ochota. Okazji zawsze jest dużo. Najpierw, kiedy szłam po mleko i pieczywo dla nas, wstąpiłam do sąsiadki z trzeciego piętra — to już starsza pani i ciężko jej chodzić. Ucieszyła się. Kiedy przyniosłam jej zakupy, powiedziała:

— O, jakie dobre z ciebie dziecko. Życzę ci, żeby ci się spełniły wszystkie pragnienia.

Poczułam się tak, jakbym złowiła złotą rybkę. I zaczęłam wymyślać sobie swoje życzenia. Ale było ich o wiele za dużo...

Potem pomogłam młodej kobiecie wnieść po schodkach wózek z dzieckiem. Dzieciak w wózku darł się jak opętany.

Zrobiłam parę głupich min i zaraz przestał płakać; wytrzeszczył na mnie wielkie, okrągłe oczy i roześmiał się.

Roześmiała się też kobieta.

— Prawdziwa czarodziejka z ciebie!

Byłam bardzo dumna. Ale chyba dość tego chwalenia się. Zresztą spotkały mnie też i nie tak miłe wydarzenia. To było w piątek. Jechałam tramwajem i zaczytałam się. I nagle słyszę, jaka to dzisiejsza młodzież: siedzi sobie taka smarkula, a dorośli, a kiedyś... a teraz...

Zrobiło mi się bardzo przykro i wysiadłam na następnym przystanku. Postanowiłam sobie, że już w ogóle nie będę siadać ani w tramwaju, ani w autobusie..."

Pani przerwała czytanie.

— Jest tu jeszcze kilka różnych zdarzeń, małych i dużych, ważnych i mniej ważnych. Na końcu wypracowania Ania pyta:

„Czy to są jednak wydarzenia? Może ja napisałam nie na temat"

— A jak Wy myślicie?

Wszyscy patrzyli w stronę Ani, która siedziała trochę zaróżowiona, ale uśmiechnięta.

Wanda Osuchowska-Orłowska

KONKURS • KONKURS •

WIELKI KONKURS

POETYCKO-PLASTYCZNY

„NAJPIĘKNIEJSZE CHWILE"

Organizatorzy Konkursu: Polski Komitet Inicjatywny „Sztandar Pokoju", Krajowy Komitet Dziecka, redakcja „Płomyczka" — ogłaszają Konkurs na

WIERSZ I RYSUNEK

Celem Konkursu „**Najpiękniejsze chwile**" jest zdobycie wartościowych prac poetyckich i plastycznych na temat szczególnie pięknych chwil w Waszym życiu. Na pewno jest ich bardzo wiele: w domu, w szkole, podczas wakacji i po lekcjach.

Prace (wyraźnie podpisane imieniem i nazwiskiem, z dokładnym adresem) należy nadsyłać do dnia 31 marca 1987 r. pod adresem redakcji „Płomyczka", 00-950 Warszawa, ul. Spasowskiego 4.

Jury konkursu przyzna w obu działach (poezji i plastyki) wiele nagród i wyróżnień rzeczowych. Ponadto nagrodzone prace zostaną opublikowane w „Płomyczku", a autorzy, którzy zdobędą trzy pierwsze nagrody (w obu działach), zostaną zaproszeni do udziału w przeglądzie twórczości dziecięcej w Szczecinie, w tzw. „Gryfiadzie".

KONKURS • KONKURS •

PTASIE GNIAZDA ZIMĄ

Cóż to za rosochate kule widać zimą wysoko przy wierzchołkach topoli? Wiatr potrząsa nagimi gałęziami, targa nieraz całym drzewem, aż go lekko pochyla, a kula z gałązek ani drgnie... Siedzi mocno przytwierdzona wśród gałęzi.

Ta kula to ptasie gniazdo, jedyne w swoim rodzaju, bo składające się jakby z głębokiego koszyka wylepionego gliną i z daszka, który chroni gniazdo przed deszczem i skwarem.

Takie kule widujemy zimą nie tylko na ogołoconych z liści przydrożnych drzewach, ale także przy wielkomiejskich ulicach, hałaśliwych skrzyżowaniach i placach. Są to gniazda srok — latem niewidoczne, bo skryte starannie w listowiu, a teraz odsłonięte, więc możemy się im swobodnie przyjrzeć.

Gniazdo jest nadzwyczaj solidnie zbudowane, choć ptak w następnym roku już do niego nie wraca. Nastroszony daszek z gałązek chroni je nie tylko przed słońcem i ulewą, ale przede wszystkim przed drapieżnikami. Sroka sama jest drapieżnikiem i znana jest z tego, że porywa pisklęta innych ptaków. Szczególnie wiele szkody czyni w lęgach małych ptaszków śpiewających. Dobrze wie, na co mogą być narażone jej pisklęta, dlatego tak dobrze zabezpiecza swoje gniazdo.

Sroka, duży, piękny czarno-biały ptak, ze wspaniałym, granatowym połyskiem czarnych piór, nie cieszy się u nas specjalną sympatią, ale np. w Skandynawii jest ulubieńcem ludu i gnieździ się przy domach w stanie na wpół oswojonym.

Kto srok nie lubi, może odstraszyć je w dowcipny sposób. Wiosną wystarczy założyć na pobliskich drzewach kilka nastroszonych

kul z gałązek, takich niby sroczych gniazd, a już te ptaki na pewno się tu nie osiedlą.

Dzieje się tak dlatego, że sroki są terytorialistkami, to znaczy, że potrzebują do życia i polowania określonego obszaru, który nazywamy terytorium, gdzie nie znoszą konkurentów własnego gatunku. Jeśli widzą grupę sroczych gniazd, uznają, że teren jest zajęty, i poszukują dla siebie miejsca gdzie indziej. Dzięki temu słowiki, sikorki, zięby, muchołówki i inny ptasi drobiazg w naszej okolicy pozostanie bezpieczny.

Kawek i gawronów nie zniechęca towarzystwo krewniaków, wręcz przeciwnie, uwielbiają życie w hałaśliwej gromadzie! Wierzby nad Wisłą nieraz są całe czarne od gawronich gniazd. Gawrony są tak przywiązane do swej kolonii, gdzie czynią już od świtu bezustanny harmider, że stają się utrapieniem dla ludzi mieszkających w pobliżu.

Drobne ptaszki śpiewające — słowiki, rudziki czy świergotki, wiją swe samotne gniazdka na ziemi lub tuż nad nią, w niedostępnych krzakach. Pomykają trwożliwie pod zwisającymi gałązkami malin czy jeżyn, a po ukończeniu lęgów porzucają gniazda na zawsze. Zimą osiedlają się w nich czasem gryzonie, a wiosną najczęściej trzmiele, które korzystają z opuszczonego ptasiego gniazdka, aby założyć swoją wielką rodzinę jednoroczną. Puste gniazdko to dla nich wielka życiowa szansa.

Elżbieta Kozłowska

Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

MOST KIERBEDZIA

W roku 1848 ruszyły pociągi na linii Warszawsko-Wiedeńskiej. Na 1862 rok zaś planowano ukończenie linii kolejowej Warszawa—Petersburg.

Aby otrzymać bezpośrednie połączenie Petersburg—Wiedeń, trzeba było ujarzmić Wisłę. Tym razem bez żadnej prowizorki, ale solidnym, stalowym mostem.

Po wstępnych dyskusjach dotyczących lokalizacji budowy potężne Towarzystwo Kolei Żelaznych Rosyjskich uznało, że projektowany most winien być przedłużeniem Nowego Zjazdu, łagodnie łączącego poziom Krakowskiego Przedmieścia z Powiślem.

Było to tym bardziej wskazane, że Nowy Zjazd został wykonany wyjątkowo solidnie i gwarantował bezpieczeństwo podróżnym.

Projekt opracował jeden z najwybitniejszych ówczesnych fachowców, gen. major inż. Stanisław Kierbedź. Warto dodać, że był on absolwentem Instytutu Korpusu Inżynierów Komunikacji w Petersburgu i Szkoły Dróg i Mostów w Paryżu oraz że miał już za sobą wielką budowę zrealizowaną w latach 1842—1850 — pierwszy metalowy most w Petersburgu na rzece Newie.

Właściwe roboty rozpoczęto w lipcu 1859 r. od posadowienia filarów. Była to ciężka praca, ponieważ każdy z nich opierał się na 4 żelaznych cylindrach o średnicy 2,75 i 5,50 m., które opuszczano 14,5—18,5 m poniżej dna Wisły, ponieważ dopiero na tej głębokości występuje stały grunt.

Aby dokonać tego dzieła, zastosowano nowo wynalezioną metodę kesonową*). Praca w kesonie pod działaniem znacznego ciśnienia sprężonego powietrza jest bardzo uciążliwa i wymaga niezwykle starannego dozoru, ograniczenia czasu efektywnej pracy i stopniowego śluzowania pracownika do i z kesonu.

Nie znano wtedy jeszcze fatalnych skutków, jakie może wywołać zbyt długa praca w kesonie lub zbyt szybkie śluzowanie**) robotników. Toteż na 352 zatrudnionych 30 ciężko zachorowało, 12 zmarło, a tylko połowa nie poniosła żadnej widocznej szkody na zdrowiu.

Po wykonaniu filarów przystąpiono do montażu przęseł z pomocą roboczego pomostu drewnianego. Było ich 6 (a właściwie 3 podwójne) o rozpiętości po 79 m. Całkowita długość mostu wynosiła 475 m, szerokość jezdni 10,5 m, chodników — 3,25 m. Konstrukcję nośną stanowiły dwie kratownice stalowe.

Projekt przewidywał, że środkiem mostu miały przebiegać dwa tory kolejowe. Jednak podczas budowy specjaliści doszli do wniosku, że linia kolejowa przepuszczona przez środek miasta, a co za tym idzie, zastosowanie skomplikowanego systemu zabezpieczeń używanych w kolejnictwie, sparaliżuje ruch uliczny.

Postanowiono wybudować oddzielny most

*) *keson — skrzynia stalowa lub żelbetowa do wykonywania prac pod wodą.*

**) *śluzowanie — stopniowe wydobywanie człowieka pracującego na dużej głębokości.*

Rysunek mostu Kierbedzia z 2 połowy XIX w.

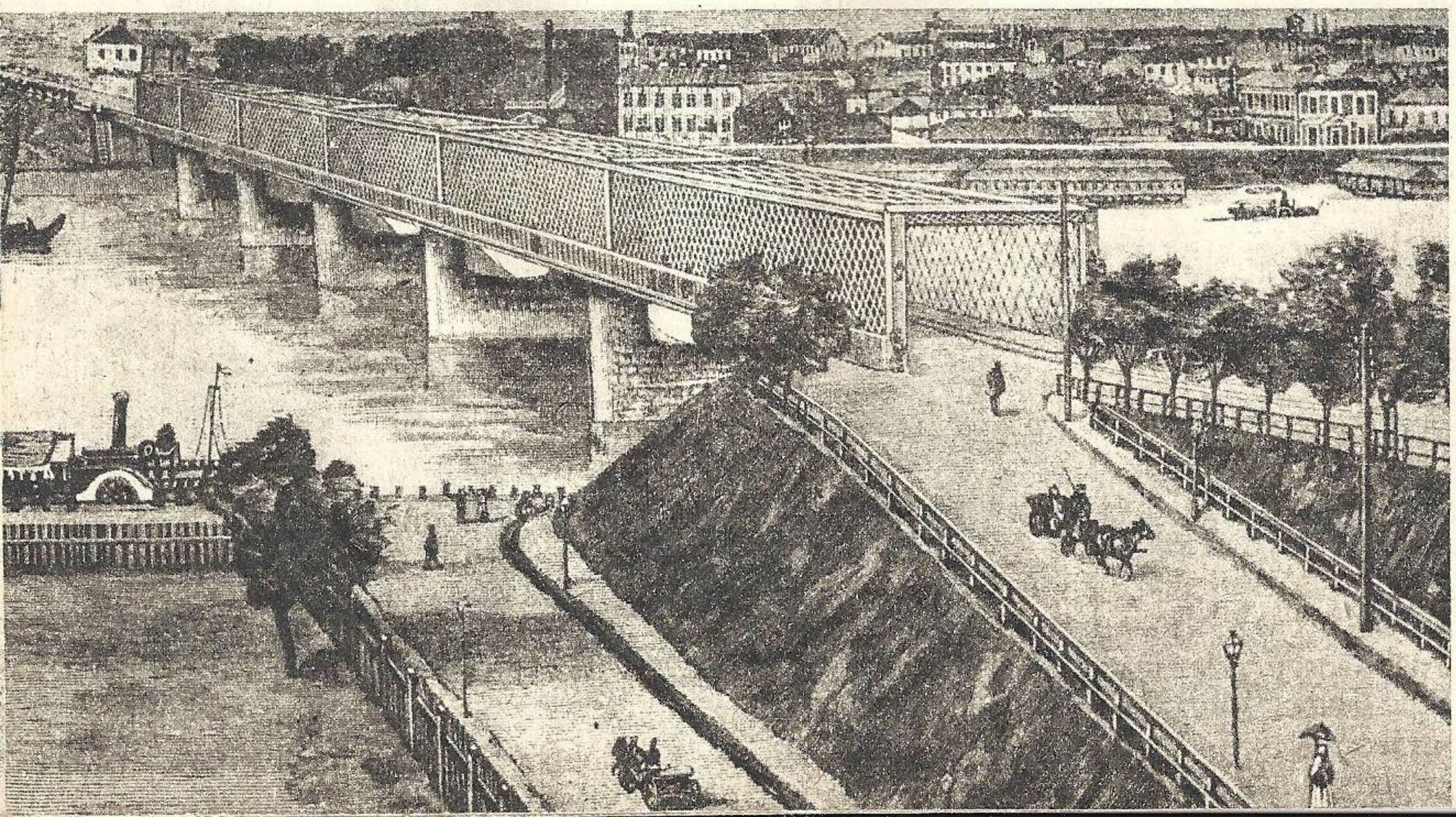

przez Wisłę wyłącznie dla ruchu kolejowego, zlokalizowany tak, aby omijał centrum miasta, a na moście Kierbedzia ułożyć linię tramwajową, która obsługiwana przez trakcję konną miała połączyć dworce Petersburski i Wiedeński. (Potem — Wileński i Główny).

Tramwaje przeznaczono przede wszystkim dla pasażerów kolejowych, przejeżdżających tranzytem przez Warszawę. Towarzystwo Kolei Żelaznych otrzymało koncesję na eksploatację tramwaju konnego na 87 lat, tj. do... roku 1952.

Dnia 22 listopada 1864 roku kanonik Zwoliński dokonał poświęcenia mostu, który miał się nazywać Aleksandryjski (na cześć cara Aleksandra I), ale od samego początku warszawiacy nadali mu nazwę: most Kierbedzia.

Przez pół wieku stalowy kolos służył miastu w niezmienionej postaci. Zrósł się z panoramą Warszawy podobnie jak Kolumna Zygmunta i Zamek Królewski.

W sierpniu 1915 r. cofające się wojska rosyjskie wysadziły dwa środkowe przęsła, które w latach 1916—1917 odbudowali Niemcy. Ale wcale nie w trosce o sam most, lecz o zabezpieczenie frontowi łączności z zapleczem.

Już w okresie międzywojennym, przy stale rozwijającym się ruchu na moście i trudnościach w jego użytkowaniu, przewidywana była całkowita rozbiórka dawnych przęseł i zastąpienie ich nowymi po wybudowaniu mostu przy ul. Karowej. Rozpoczęcie prac przewidywano na r. 1941.

Druga wojna światowa i okupacja udaremniły te plany. W tym miejscu należy wspomnieć o dramacie, jaki rozegrał się po zamachu na kata Warszawy Kutscherę 1 lutego 1944 r. Uczestnicy akcji „Juno" — Zbigniew Gęsicki i „Sokół" — Kazimierz Sot

Most Kierbedzia

po odwiezieniu samochodem rannych kolegów do szpitała wpadli na moście w sieć obławy i skoczyli do Wisły, ponosząc w niej śmierć od kul wroga.

13 września 1944 r. cofające się wojska niemieckie, pragnąc powstrzymać napór wojsk radzieckich na linii Wisły, wysadziły w powietrze wszystkie warszawskie mosty. W tym i most Kierbedzia. Ale na szczęście nie całkiem. Zniszczone zostały jego przęsła i tylko poważnie uszkodzone filary. Na ocalałych i naprawionych podporach spoczywają dziś nowoczesne przęsła mostu Śląsko-Dąbrowskiego.

Józef Zięba

Most Śląsko-Dąbrowski

ROZSTANIE Z MATKĄ

Źrebięta są bardzo mocno przywiązane do swych matek-klaczy.

Przebywają razem z nimi przez pół roku, zawsze znajdując smaczny pokarm, troskliwą opiekę i partnera do zabaw. Klacze uważnie pilnują swych źrebiąt, a przebywając na pastwisku ustawiają się zawsze za źrebięciem, aby móc je stale obserwować. Kiedy zdarzy się, że źrebak zagubi się wśród innych koni, matka-klacz energicznie go poszukuje, rży donośnie i wzbudza niepokój w całym stadzie.

Przychodzi jednak moment, kiedy człowiek decyduje, że należy odłączyć źrebaka od matki, gdyż dalsze wspólne ich przebywanie nie jest już potrzebne. Źrebię jest odchowane, a klacz potrzebuje odpoczynku.

Odłączanie źrebiąt musi być przeprowadzone bardzo łagodnie i ostrożnie. Najczęściej

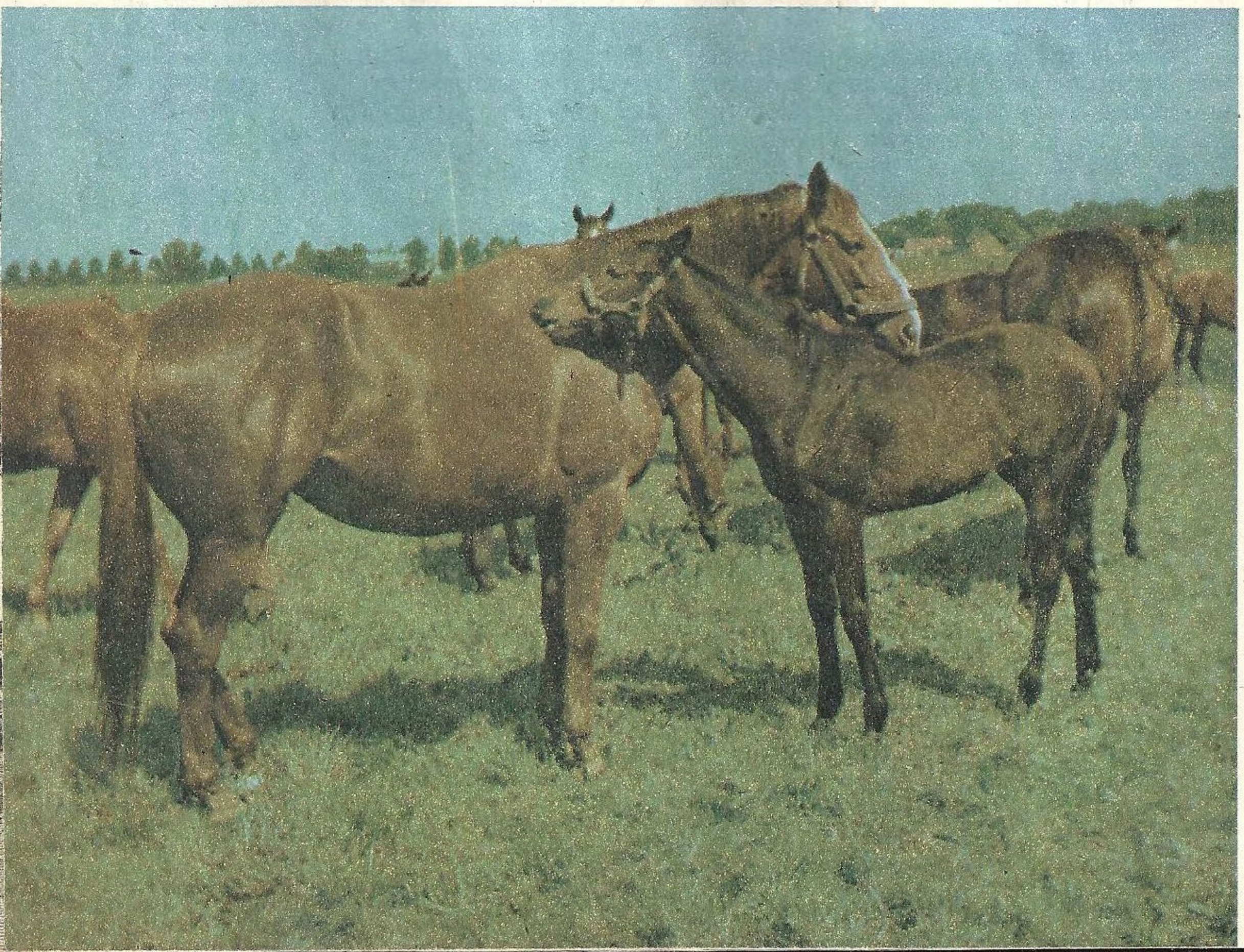

wykorzystuje się w tym celu noc, która jest dla zwierząt, podobnie jak dla ludzi, czasem zapomnienia i uspokojenia.

Przed wieczorem odprowadza się klacz ze źrebięciem do odległej stajni i tam pozostawia źrebaka, klacz zaś wraca do swojej stajni, w której dotąd przebywała. Ciemności zapadającej nocy dezorientują odłączone od matki źrebię, które w tych warunkach łatwiej przechodzi pierwszy wstrząs w swoim życiu.

Matka przez dwa, trzy dni zdradza pewien niepokój, nie chce jeść i stale głośno rży. Również źrebak w tym czasie smutnym rżeniem i wierzganiem kopytami przyzywa swą matkę, ale przy właściwym oddaleniu nie mogą wzajemnie się słyszeć. Po kilku dniach uspokajają się, coraz rzadziej przyzywają siebie tęsknym rżeniem i oswajają się z nową sytuacją.

Człowiek powinien w tym czasie szczególnie troszczyć się o źrebaka, aby zmniejszyć jego smutek. Źrebak powinien być często głaskany, poklepywany, słowem — przyzwyczajany do człowieka, który odtąd całkowicie zastąpi mu matkę. Źrebię czuje bliskość człowieka, który mu nie wyrządza krzywdy, a przy tym przyjaźnie do niego przemawia i łagodnie głaszcze. Nabiera doń zaufania i staje się mu wierny i posłuszny. W ten sposób tworzy się mocna więź między koniem a człowiekiem, która potrafi przetrwać długie, długie lata.

Edward Lewandowski
Fot. Alojzy Zawadzki

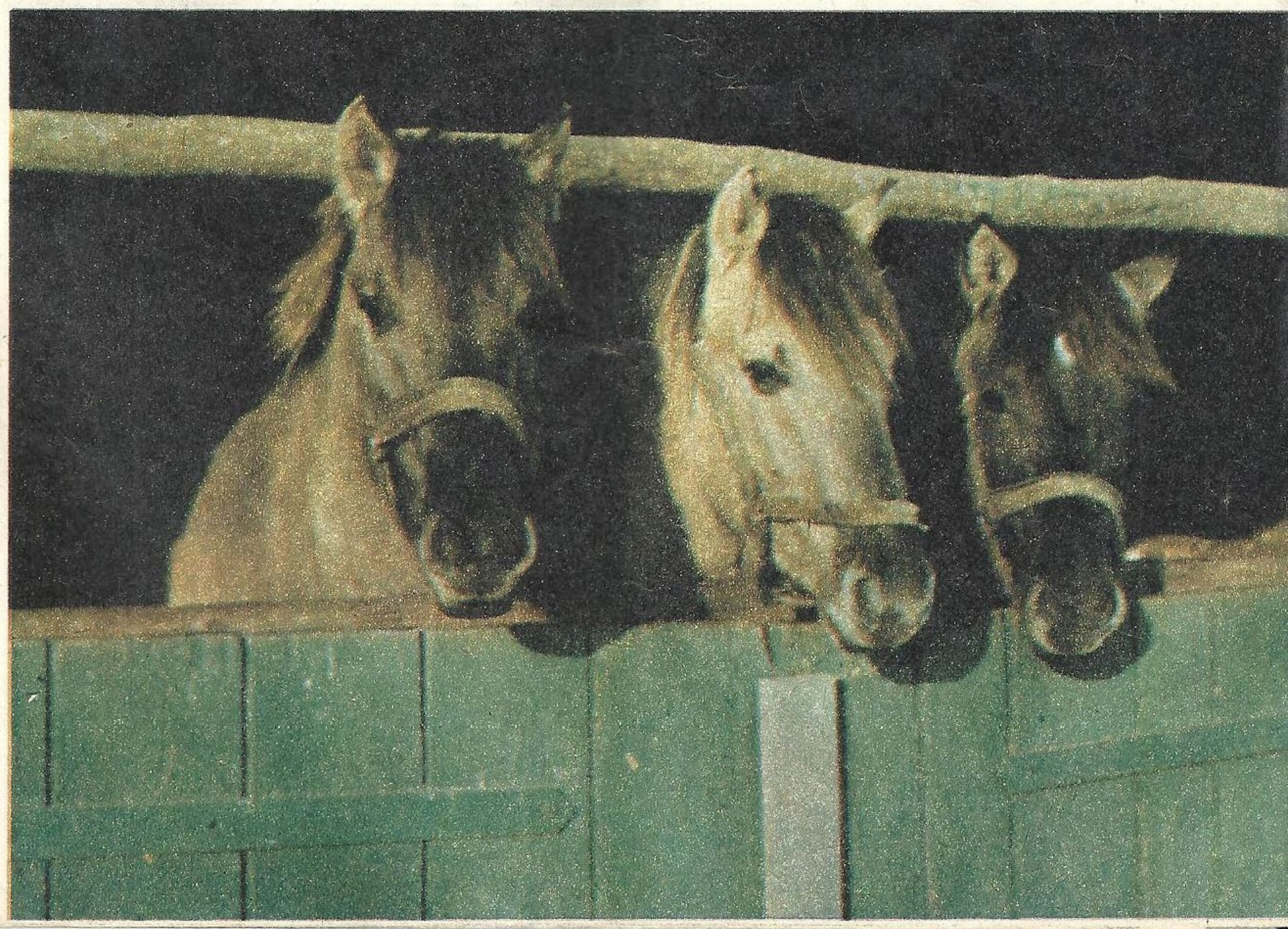

Czy jesteś spostrzegawczy?

Przyjrzyjcie się uważnie figurom narysowanym w lewym górnym kwadracie i odpowiedzcie, jakich figur brakuje w trzech pozostałych kwadratach.

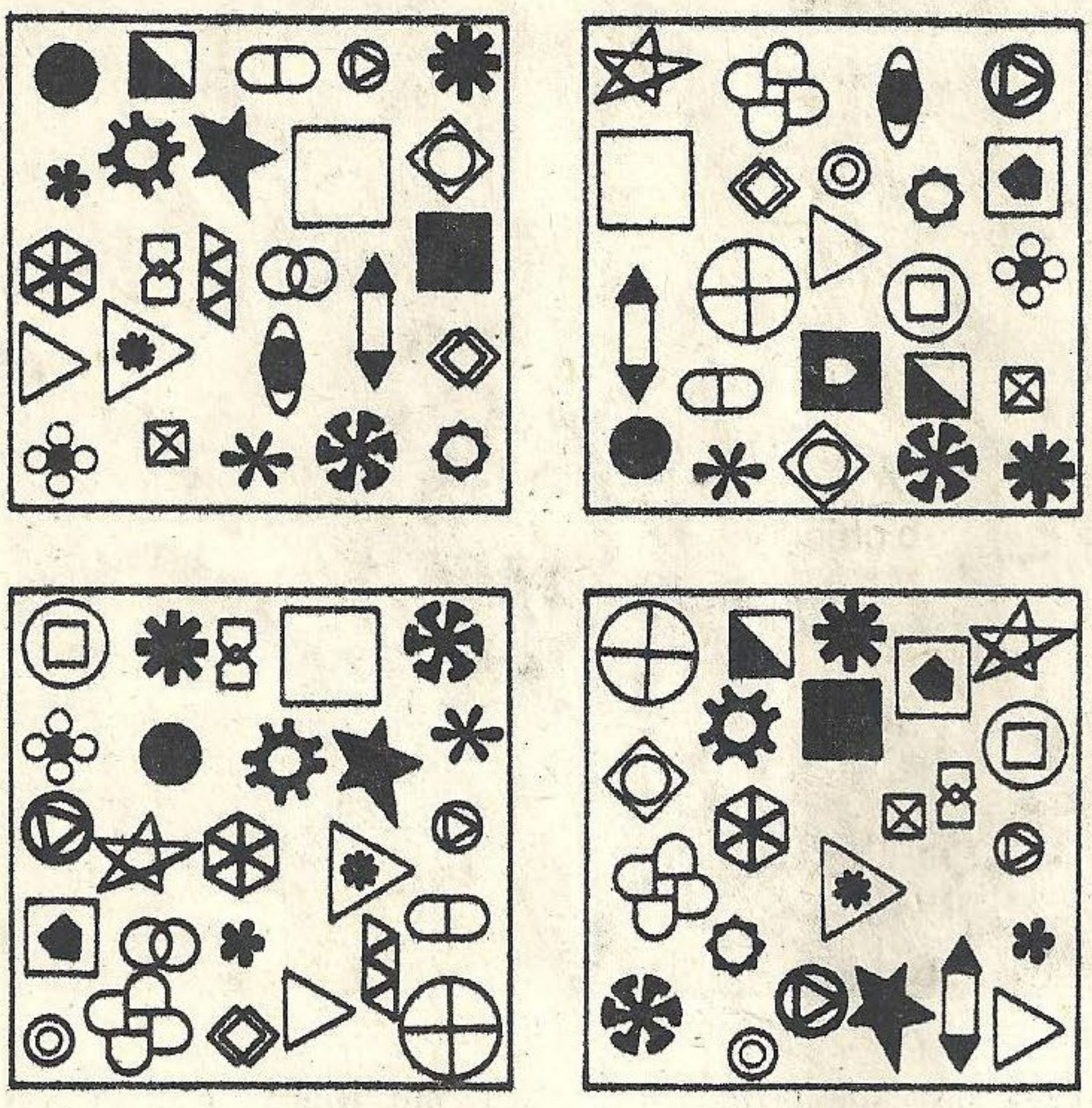

KRZYŻÓWKA

Do pustych kratek wpiszcie wyrazy o podanych znaczeniach.

Poziomo: 3. śnieżna — zimą na drodze, 6. zasłona okienna, 7. ukryte bogactwo, 8. imię męskie, miał je król, który siedział przy okrągłym stole.

Pionowo: 1. do podpierania się, 2. uprawia się go, bo to zdrowie, 4. początek biegu, 5. południowy owoc podobny do dyni.

J. S.

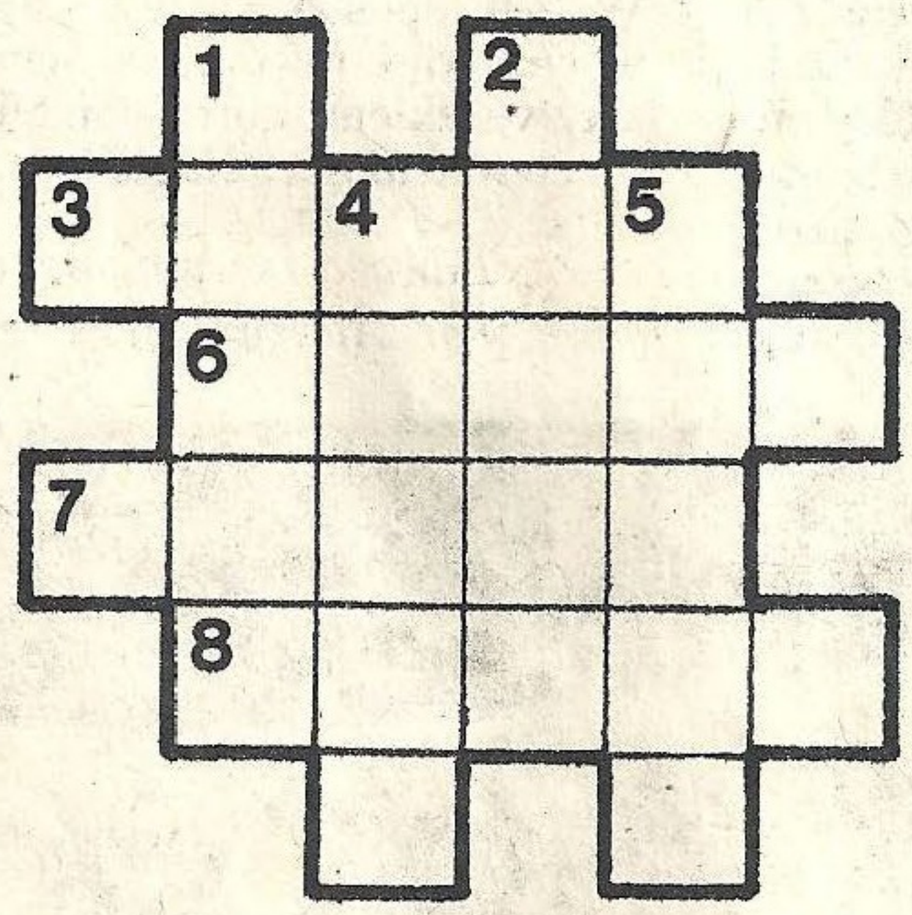

Jednym ruchem

Spróbujcie narysować podaną figurę jednym pociągnięciem ołówka, bez odrywania go od papieru i bez powtarzania linii już narysowanych.

J. S.

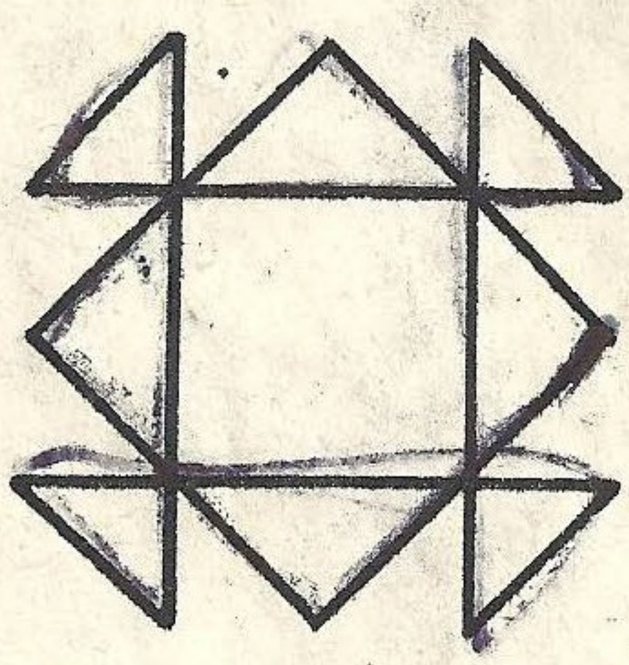

Zagadka 1

Ten swego dopnie,
kto po nich przejdzie
wszystkie stopnie.

Zagadka 2

Nie makówka, twarda główka.
Z drewienka szyja cienka.
Co to za panienka?

W. S.

NASZ ZWIERZYNIEC

SOWA

Oczy sów, zwykle pomarańczowe, są wielkie, głębokie, tajemne i rozumne. Urody dodaje im promienisty układ piórek wokół oczu, podobny do dwóch kół lub serduszek, nazywany szlarą. Prawie wszystkie ptaki, a wśród nich i sowy mają słaby smak i węch, natomiast szczycą się dobrze rozwiniętym zmysłem słuchu, równowagi i dotyku, a nade wszystko wzrokiem.

Wszystkie sowy są doskonałymi dalekowidzami. Podobnie jak sępy, orły czy myszołowy, mają gałki oczne wydłużone, funkcjonujące jak teleskopy lub obiektywy aparatów fotograficznych, które doskonale rozróżniają obrazy znajdujące się daleko.

Za to jakby dla przeciwwagi sowy niewyraźnie widzą przedmioty znajdujące się bardzo blisko.

Sowy nie rozróżniają kolorów. Widzą świat na szaro, zawsze jednakowo. Natomiast ptaki dzienne, na przykład kolibry, doskonale odróżniają barwy kwiatów czy owadów. U niektórych ptaków polujących na owady znajdują się w siatkówce barwne kropelki tłuszczu, które jak filtry zdolne są zatrzymywać niektóre promienie, a przepuszczać tylko wybrane o określonym kolorze, na przykład żółte, gdy ptak poluje na żółte owady.

Oprócz sów polarnych: białej, jarzębatej i mszarnej, które polują w dzień, wszystkie pozostałe należą do ptaków nocnych. Ofiarami ich są najczęściej myszy, nornice i szczury. Sowy więc są bardzo pożytecznymi ptakami.

Niestrawione resztki — sierść i kości — sowy po jakimś czasie wypluwają. Dla biologów te wypluwki stanowią znakomity materiał badawczy. Z analizy wydalonych kosteczek dowiadują się oni, jakie gryzonie żyją w danej okolicy.

Sowy gnieżdżą się na strychach, w stodołach, na wieżach kościelnych, w ruinach, na cmentarzach, w dziuplach i w opuszczonych gniazdach ptaków. U nas największą sową, już rzadko spotykaną, jest puchacz, a najmniejszą, lecz pospolitą — sóweczka. Oprócz niej licznie występują: płomykówka, puszczyk i uszatka, a także pójdźka. To właśnie pójdźka tak woła: „Pójdź, pójdź!". A ludzie na wsi dodają: „Pójdź, pójdź, w dołek pod kościołek!". Przez to zapraszanie do grobu głos pójdźki budzi nieraz lęk, gdy nocą słyszymy go za oknem, a wiatr dodatkowo akompaniuje temu głosowi poruszaniem okiennicy.

W południowych krajach Europy, na przykład w Grecji, darzy się sympatią tego ptaka. Pójdźka jest u Greków symbolem mądrości. Była ulubionym ptakiem greckiej bogini Ateny. Do dzisiejszych czasów sowa ta nosi jej imię — Athene.

Franciszek Kobryńczuk

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8.
Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V
Zam. 2210/86 D-3
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

SOWA

Fot. Michał Wlaziński

CENA 20 ZŁ